# MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 52. WARSZAWA, 1 GRUDNIA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

## ODWET OJCZYZNY

KTOKOLWIEK czyta uważniej dzienniki i wogóle wydawnictwa „sanacyjne", kto przysłuchuje się przemówieniom „sanacyjnych" przywódców, uderzony być musi cechującem je, a w ostatnich czasach jeszcze się wzmagającem zamiłowaniem do taniego, „patrjotycznego" frazesu. Owe ciągłe: „w interesie państwowym", „wszystko dla Państwa", wygłaszane z emfazą, kiedy chodzi o obronę interesów zgoła pośledniejszego gatunku, przybieranie póz „zbawców Ojczyzny", wzajemnie wieńczących swoje zasługi, przy równoczesnej, rosnącej stale predylekcji do wszelakich uroczystości, obchodów i t. p. — wszystkie owe tak charakterystyczne przejawy patrjotyzmu hałaśliwego, zewnętrznego, płytkiego stały się dzisiaj jednem z najpowszechniejszych i najbardziej typowych znamion całego obozu „pomajowego". W przedwojennej Galicji taki rodzaj uczuć patrjotycznych i sposób ich uzewnętrzniania nazywany był „tromtadracją". Odżył on obecnie w pełni w Polsce niepodległej, ażeby wycisnąć swe piętno na psychice i na całym sposobie postępowania grupy t. zw. „sanacji".

Jakie są przyczyny tego zjawiska? Czy wypływa ono z powtarzających się wciąż w zespole „sanacyjnym" pomysłów pokonania obozu narodowego „jego własną bronią", zagłuszenia nakazów polityki narodowej jaskrawością „patrjotycznej" frazeologji? Niewątpliwie, ten wzgląd taktyczny odgrywa niemałą rolę, jednakże gust, z jakim ową frazeologją posługują się „sanatorzy", jest wymowną wskazówką, że przyczyny samego zjawiska należy szukać głębiej, że wyjaśnienie może tu dać jedynie bliższe wniknięcie w dzieje kształtowania się typu psychicznego ludzi, stanowiących teraz w Polsce partję rządzącą.

Rozpatrując rzecz z tego stanowiska, należy pamiętać, że działacze, stanowiący najdawniejszy i najściślejszy ośrodek obozu „sanacyjnego", w młodości swej wszyscy bodaj formowali swoje przekonania polityczne na podstawie ideologji socjalistyczno-radykalnej. Wychowywała ich doktryna materjalistycznego poglądu na dzieje, drogę wskazywał „Manifest komunistyczny" Marxa i Engelsa, głoszący, że „robotnicy nie mają Ojczyzny". W roku 1892, kiedy młody Józef Piłsudski wstępował do Polskiej Partji Socjalistycznej, program partji, uchwalony na zjeździe organizacyjnym w Paryżu, stwierdzał, że ona „obstaje wiernie przy sztandarze międzynarodowej myśli rewolucyjnej". W ogłoszonych w osiem lat później „wskazaniach taktycznych", Centralny Komitet Robotniczy P. P. S. wypowiadał opinję, że „świadomy proletarjat nie może dziś przykładać ręki do realizowania programu jakiegokolwiek stronnictwa patrjotycznego, bo byłoby to samobójstwem, budowaniem swemi rękami władz, które potem zwalać będzie trzeba". Zaś żywioły niesocjalistyczne, lewicowe i prawicowe, które w późniejszym okresie dołączyły się do szeregów dzisiejszej „sanacji", z reguły ulegały w silniejszym albo słabszym stopniu działaniu prądów, któreby można określić w sposób ogólny jako „ideologję masońską", „antynacjonalistyczną", a poddawały się pod tym względem wpływom pozornie tylko ze społeczeństwem polskiem zasymilowanych sfer żydowskich. Nic też dziwnego, że walka z polskim obozem narodowym była i jest osią całej działalności obozu „sanacyjnego" i naczelnym punktem jego programu, że pod hasłem tej właśnie walki dokonany był w r. 1926 „przewrót majowy", obecnie zaś, po trzech dalszych latach do-

świadczeń, do tego samego boju niezmordowanie nawołuje swoich zwolenników komendant Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, pułkownik Sławek.

Ale miłość Ojczyzny jest w duszy ludzkiej czemś tak przyrodzonem, instynktownem, koniecznem, że można ją osłabić i wykrzywić jej kierunek, ale zniszczyć jej i wyrwać z korzeniami nie zdołają żadne nakazy, żadne doktryny, żadne organizacje. Niejednokrotnie obserwować można zjawisko, że zdecydowani „wolnomyśliciele", którzy za ujmę uważaliby dla siebie odmówienie pacierza, obawiają się zapalić jedną zapałką trzeciego papierosa, przywiązują zabobonne znaczenie do „trzynastki" itp.: naturalna, na dnie duszy ukryta tęsknota metafizyczna, poczucie zależności człowieka od wyższej Potęgi, zagłuszone teorjami ateizmu, odnajdują ujście w poddawaniu się pod władzę najpłytszego, najbardziej bezsensownego przesądu. Podobnie też sumienie narodowe, stępione hasłami „ogólnoludzkiemi" czy klasowemi, zniepracowione walką z „nacjonalizmem", podświadomie poszukuje dla siebie ratunku w guślarskiem zamawianiu pustym, „patrjotycznym" frazesem. Ideologję narodową, jako jasno uświadomiony, wszelkie dziedziny działalności ludzkiej przenikający nakaz postępowania, zastępuje kiepska, głębszej treści wewnętrznej pozbawiona retoryka obchodowa.

Dla jednostek rzeczywiście silnie z Narodem związanych, żyjących jego życiem, ta napuszona, świąteczna frazeologja obchodów i parad najmniej może być chyba potrzebna. „Rzadko na moich wargach",—wyznawał w „Księdze Ubogich" bezwątpienia najgłębiej narodowy poeta ostatniej doby, Jan Kasprowicz—„jawi się krwią przepojony, najdroższy wyraz: Ojczyzna". „...Ci, dla których patrjotyzm jest przeważnie nastrojem odświętnym... chcą, żeby rozbrzmiewał gwarem wielkich słów, przemawiał do wyobraźni nagromadzeniem efektów, chociażby trochę teatralnych, chociażby niezbyt starannie dobranych... Nasz patrjotyzm zdrowy jest i silny i obejdzie się bez tych środków podniecających; pozostawiamy je bez pretensji tym, którzy sztucznego podniecenia potrzebują" — pisał jeszcze w r. 1899 pierwszy twórca ruchu politycznego wszechpolskiego, Jan Ludwik Popławski.

Obóz „sanacji" walczył i walczy w dalszym ciągu przedewszystkiem z obozem narodowym i z ideologją narodową, uważając je za najgroźniejszego swojego wroga. Przeciwstawiał się i przeciwstawia najostrzej wszelkiemu „nacjonalizmowi", zarówno w dziedzinie życia politycznego, jak w zakresie tworzenia kultury. Ale boleśnie ironiczny okazał się odwet ojczyzny na skosmopolityzowanej, skrzywionej doktrynerstwem przeciwnarodowem psychice tych ludzi. Nie chcieli oni uznać idei narodowej jako podstawy ustroju i polityki państwowej, jako podstawy całej wogóle twórczości cywilizacyjnej, potępili ją i tępią wciąż z zapamiętaniem, jako nazbyt rzekomo „ciasną", zamało „nowoczesną"... Aż oto padli przed nią na kolana wówczas tylko, kiedy zjawiła się ich oczom zaślepionym w kształcie najbardziej powierzchownym, najbardziej zewnętrznym, pod postacią mundurów, rewij wojskowych, oficjalnych parad w dni uroczyste. I przeciwnicy idei narodowej ukorzyli się nagle, kiedy ujrzeli nie ją już, ale jej parodję najnędzniejszą, w zakłamanym patosie sprzedajnego dziennikarza, w pustce okolicznościowego wierszyka. Piotrem Skargą stał się dla nich Ehrenberg, Mickiewiczem — Or-Ot.

JAN REMBIELIŃSKI

# GEORGES CLEMENCEAU

(28.IX.1841 — 24.XI.1929)

ZGASŁ jeden z największych umysłów, przestało bić najhartowniejsze serce, zastygła najsprawniejsza wola, dopełniły się dni najbujniejszego pracą, twórczością, dziełem i wielkością zdarzeń żywota współczesnego, na przełomie XIX i XX stulecia.

Clemenceau z ostatnich dziesiątek lat 19-go wieku jest inny, niż późniejszy. Zakres jego nietylko upodobań umysłowych, ale także twórczości rozlewa się szeroko poza politykę. Pisze o wszelkiej twórczości z zakresu piśmiennictwa i sztuki, sam należy do grona piszących w powieści i teatrze, a wreszcie koło r. 1895 w swem piśmie („Le Grand Pan") o wszystkiem, od polityki do sztuki, pisze sam od początku do końca. Clemenceau z owych czasów jeszcze młodych, niezmiernie zwarty w sobie i napięty, przekazany jest przyszłości w portrecie Edwarda Manet'a, który od dwu lat zjawił się w nowych zbiorach Louvre'u. W zakresie politycznym był wówczas, na lewicy, człowiekiem ustawicznej walki. Portret jego z owego pierwszego okresu, gdy przed r. 1870 walczył z drugiem cesarstwem Napoleona III-go, w r. 1871, po powrocie do kraju z Ameryki, brał udział w burzliwych przełomach ówczesnych, a od r. 1876 do 1892, jako poseł, obalał rządy, zamknął w słowach, na pamiętnem posiedzeniu Izby deputowanych dnia 20-go grudnia 1892, podnosząc niesłuszne oskarżenie jego także o udział w brudach panamskich, nie kto inny, jak sławny poeta Paul Déroulède, jako poseł na prawicy:

— Wszyscy go znacie. Imię jego jest na ustach was wszystkich. A jednak ani jeden z pośród was nie nazwałby go. Bo są trzy rzeczy, których się w nim boicie: jego szpady, jego pistoletu, jego języka. Otóż ja, ja wyzywam tę trójcę i wymieniam go: to p. Clemenceau!

Clemenceau z początku XX wieku, zjawiwszy się, po przerwie w posłowaniu od r. 1892, znowu jako senator od r. 1902, już sześćdziesięcioletni, jest raczej już człowiekiem czynu narodowego, gdy zjawia się potrzeba największego wysiłku woli. Jest przeto ministrem spr. wewn. od marca 1906, a prezesem ministrów od października 1906 do lipca 1909, gdy Francja otrząsała się z rozstroju rządów masońskich Com-

bes'a i antymilitaryzmu, a potem staje na czele rządu w rozstrzygającym okresie wojny od 15-go listopada 1917. Ten Clemenceau przejdzie w potomność w wizerunku na mównicy Izby Deputowanych, 11-go listopada 1918, gdy po odczytaniu warunków zawieszenia broni wołał:

— Francja, wczoraj żołnierza Boga, dzisiaj żołnierza Ludzkości, będzie po wsze czasy żołnierzem Ideału.

*

Był on naprawdę przyjacielem Polski w zwykłem ludzkiem i w polityczno-dziejowem znaczeniu tego słowa.

W trzy tygodnie po rozpoczęciu prac Konferencji Pokojowej w Paryżu, 10-go lutego 1919 byliśmy, w kilku profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, jako delegacja, u Clemenceau w ministerstwie wojny, na rue Saint Dominique, aby go zawiadomić o mianowaniu doktorem honorowym. Gdy usiadł między nami, po wysłuchaniu, zaczął sam mówić. A w miarę tego, co mówił, oczy robiły się to łagodne, to twarde:

— Pamiętam, jako chłopak kilkoletni, w r. 1848, ujrzałem grupkę ludzi obcych, jakby wędrowców, o których powiedziano mi, że to są tułacze polscy, wypędzeni z własnego kraju, zacząłem się dopytywać i odtąd już myślałem zawsze o sprawie polskiej. Niewiele lat temu byłem w Krakowie, zetknąłem się z przeszłością Polski, ze stanem rzeczy w niewoli... Wasz kraj został podzielony, pomięty, rozdarty, znękany, skrwawiony... Ja dla wolnej i silnej Polski zrobię, bądźcie pewni, wszystko, co będzie w mojej mocy.

I rzeczywiście, w czasie Konferencji Pokojowej, jak dowiadywaliśmy się tam wówczas w miarę biegu spraw i jak Dmowski stwierdza to w swej książce, w sprawach czy Gdańska czy Górnego Śląska był po naszej stronie, a jeżeli nawet musiał ustępować przed naporem p. Lloyda George'a i tego co za nim było, to jednak umiał zawsze postawić pewne granice ustępstwom i dużo ocalić nawet w tych sprawach.

Clemenceau podpisał słynną odpowiedź Sprzymierzonych z 16-go czerwca 1919 na uwagi delegacji niemieckiej o warunkach pokoju, wręczonych jej 7-go maja 1919, a w odpowiedzi tej mówi o sprawach Polski m. in. tak:

— Kontrpropozycje niemieckie są w całkowitej niezgodzie z podstawą, przyjętą dla zawarcia pokoju. Wedle nich znaczna większości ludności niewątpliwie polskiej miałaby pozostać pod panowaniem Niemiec. Odmawiają one wolnego dostępu do morza narodowi więcej niż dwudziesto-miljonowemu, którego rodacy są w większości na całej drodze, prowadzącej do wybrzeża, a odmawiają, aby utrzymać łączność lądową między Prusami wschodniemi i zachodniemi, których handel odbywał się zawsze głównie przez morze. Te kontrpropozycje nie mogą przeto być dopuszczone przez Mocarstwa Sprzymierzone i Stowarzyszone.

Załatwiając sprawę wschodniej granicy Niemiec, trzeba ustalić dwie zasady podstawowe.

Pierwsza jest ta, że Mocarstwa Sprzym. i Stow. mają szczególną powinność użycia odniesionego zwycięstwa celem przywrócenia narodowi polskiemu niepodległości, której został niesprawiedliwie pozbawiony przeszło sto lat temu. To złupienie było jedną największych niesprawiedliwości, jakie dzieje zapisały, było zbrodnią, która przez wspomnienie i wynikł swe zatruła na długo życie polityczne wielkiej części lądu europejskiego. A zarazem zabór zachodnich ziem Polski był dla Prus jednym z najistotniejszych sposobów, przez które zbudowały one swą potęgę wojskową. Konieczność trzymania tych ziem w ciasnem jarzmie zniepraw iła całe życie polityczne Prus a potem całych Niemiec. Pierwszym obowiązkiem Sprzymierzonych jest naprawienie tej niesprawiedliwości. Ten obowiązek głosiły one bez przerwy przez całą wojnę...

Drugą zasadą, głoszoną przez Sprzymierzonych i wyraźnie przyjętą przez Niemcy, jest to, że będą Polsce zwrócone ziemie dzisiaj zamieszkałe przez ludność niewątpliwie polską.

Przyłączenie do Niemiec zachodnich Prus z Gdańskiem pozbawiło Polskę bezpośredniego dostępu do morza. Państwa Sprzym. i Stow. pragną, by go Polsce przywrócić. Nie wystarcza to, by Polska otrzymała prawo posługiwania się portami niemieckiemi, lecz musi jej być przywrócone choćby nierozległe wybrzeże, które jest polskie... Trzeba, aby Polska pod tym względem, dostępu do morza, była postawiona na równej stopie z innemi Państwami Europy.

To pismo z nazwiskiem Clemenceau jest i pozostanie nietylko wspomnieniem, ale podstawowym dokumentem, objaśniającym Traktat Wersalski w zakresie postanowień o granicach polsko-niemieckich, co dzisiaj tak jest szarpane.

A do tego trzeba jeszcze dodać zdania, odnoszące się do Polski w ostatniej mowie Clemenceau, wygłoszonej w Izbie Deputowanych 23 grudnia 1919:

— W wojnie tej wyzwoliliśmy cały szereg t. zw. małych narodów. Ale niektóre są wielkiemi w dziejach narodami. A przez swą wspaniałą postawę w czasie wojny, przez swą dzielność i piękno czynów, przez swą wytrwałość i odwagę, zasłużyły istotnie na to, by je wpisano w pierwszy szereg najszlachetniejszych narodów ziemi. Polska i Czechosłowacja należą do tej listy. Pociągają one jeszcze i tem w szczególnej mierze naszą uwagę, że, będąc naszemi staremi przyjaciółkami — bo Francję i Polskę zawsze łączyła stara przyjaźń, która nie przestała nigdy ujawniać się przy każdej sposobności (oklaski) — zajmują stanowiska strategiczne w Europie, bardzo korzystne z naszej placówki patrzenia. Powinniśmy przeto uczynić wszelkie wysiłki, aby Polska w granicach swych słusznych żądań, doznała całkowitego zadośćuczynienia...

Jedno z przejściowych postanowień Konferencji Pokojowej, t. j. Głównych Mocarstw, zamierzało oddać Galicję Wschodnią Polsce tylko z tytułem mandatu na 25 lat... Udałem się do Londynu i mówiłem o tem z p. Lloyd-George'm i uzyskałem zmianę... Wczoraj powzięliśmy nowe postanowienie, które zawiesza tymczasowo tamto...

Powiedziałem, że między Europą a bolszewicką Rosją wybudujemy zaporę z drutu kolczastego. Są miejsca, w których trzeba będzie pilnować, aby i Niemcy zapory tej nie przeszły. Są narody, jak Polacy, którzy walczą z Sowietami, stawiają im opór, są awangardą cywilizacji. Mówiłem już o tem, że Polacy w razie potrzeby udzielą nam swej pomocy. A gdy oni dzisiaj biją się z bolszewikami, gdyby mieli nie podołać zadaniu — lecz podołają! — to pomocy tej, której możemy im udzielić pod różną postacią, a której narazie im udzielamy w postaci sprzętu wojennego i odzieży, nadal także udzielać im będziemy (oklaski na wielu ławach, przerywania na skrajnej lewicy)...

Jak tam prawne, tak tu polityczne znaczenie odbudowania wielkiej i silnej Polski dla Europy wyłożone jest w sposób pomnikowy przez Clemenceau.

W trzy tygodnie po tej mowie, dnia 16 stycznia 1920, w głosowaniu próbnem posłów i senatorów przed Zgromadzeniem Narodowem, mającem wybrać prezydenta Republiki, uzyskał Clemenceau tylko 389 głosów a Deschanel, prezydent Izby, 408 głosów. Nazajutrz, 17-go stycznia 1920, Clemenceau zabronił wysuwania swej kandydatury na Zgromadzeniu Narodowem w Wersalu, które 734 głosami na 868 głosujących wybrało Deschanel'a. Dnia 18-go stycznia 1920 ustąpił Clemenceau ze stanowiska prezesa rady ministrów i usunął się w całkowite zacisze, odmawiając wszelkiego wkroczenia w sprawy polityczne, z wyjątkiem dwu w ostatnich latach krótkich oświadczeń przeciw kruszeniu Traktatu Wersalskiego.

Szerokie zamiłowania umysłowe wróciły w książce o Demostenesie z r. 1925, w dziełku o zmierzchu myśli z r. 1926, w szkicu o przyjacielu malarzu Claude Monet z r. 1929-go, w którem widać nietylko sąd

o malarstwie, ale także jak stałe w przyjaźni są serca twarde.

Ale nawet do Akademji Francuskiej, w której skład został powołany w r. 1919, nigdy się nie jawił, nawet na przyjęcie uroczyste, które też nie odbyło się, co jest zdarzeniem niezwykłem w dziejach Akademji od trzystu lat jej istnienia.

Właśnie dlatego, że w ostatnich latach blisko dziesięciu Clemenceau tak się zamknął i tak się nie odzywał, wspominam o bezcennej dla mnie pamiątce, świadczącej, że dla Polski czyni wyjątek, gdy w grudniu 1928, po przesłaniu mu książki o naszem pierwszem dziesięcioleciu, wzruszająco niewyraźnem, ale twardem, pismem, napisał mi na swym bilecie:

— Tous mes remerciements, cher Monsieur, avec tous mes voeux pour la Pologne... wszystkie życzenia dla Polski...

Po śmierci ś. p. Foch'a i ogłoszeniu wówczas niedokładnych wiadomości, wziął się w ostatnich miesiącach do spisania pamiętnika z czasu wojny, który podobno skończył.

Ostatnia wola, którą zakazał pogrzebu narodowego, jest jakby ostatniem też wspomnieniem i poruszeniem sumień, przez wstrząsające wywiezienie nocą zwłok z Paryża do Wandei, by nie pochwałami na jego grobie, ale obroną dobytku zwycięstwa i układu pokojowego dano wyraz obowiązkowi i sprawiedliwości.

STANISŁAW STROŃSKI

# O WARUNKACH PRZYBLIŻENIA SIĘ DO IDEAŁÓW KULTURY

CZŁOWIEK, który osiągnął pewien stopień rozwoju myślowego*), wymiany swych sądów i pojęć oraz współżycia z innymi, odczuwa niepohamowaną skłonność do zastanowienia się nad tem, który z różnych celów, jakie sobie przedstawia, jest najgodniejszy stać się faktycznym przedmiotem zabiegów i to nietylko jego własnych, ale jaknajwiększej liczby ludzi. Jeżeli dojdzie do takiej zgody zapatrywań w jakiemś środowisku społecznem, że chociażby nie wszyscy jego członkowie, to jednak poważna ich część, stanowiąca albo większość, albo szanse mająca do stania się nią, uważa za ewentualność najlepszą dla każdego z osobna i dla wszystkich razem określony stan umysłowy lub rodzaj twórczości lub wreszcie sprawność (dyspozycję) do pewnych aktów woli i odpowiednich tymże czynów — to będą owe optymalne, dotąd niezaszłe, a przekonaniem uczestników jakiejś zbiorowości w najwyższej mierze dla niej i dla nich zbawienne cechy i stosunki ludzkiego bytu i działania ideałami, do których możliwie przybliżenie się uznają oni z niewzruszalną pewnością za owoc sowicie wynagradzający największe trudy i poświęcenia. Takim był dla patrjotów polskich ideał niepodległości, dopóki się nie ziścił. Odtąd, ażeby odpowiedni nowej erze ideał nowy mógł mieć dostateczną siłę motywacyjną, stało się poniekąd kwestją bytu ożywczych i twórczych wartości w naszej kulturze, ażeby uświęcone wiekami zmagań się, krwi ofiarnie przelanej i mnóstwa innych cierpień, nietykalne dla prawego Polaka dążności do zachowania i wzmocnienia państwa polskiego przenikały się ze zrozumieniem, odczuciem i pragnieniem takich wartości, któreby dla całego rodu ludzkiego były zbawienne i których stopniowe, ale nieustające i niezbyt powolne, ziszczanie przez polskie państwo i naród sprawiałyby, że pomyślność Polski i utrwalona jej już nadal egzystencja byłyby wymagane przez oczywisty interes największej części innych państw i ludów. Widocznem jest więc, że wyraz „ideał" wzięty w sensie ścisłym i jedynie dopuszczalnym przy badaniu rozwoju społeczno-duchowego, nie oznacza przedmiotu zabiegów ekskluzywnych jakiejś grupy, klasy lub zawodu, ani nawet narodów, czy też państw, któreby z pogwałceniem ogólnoludzkiego współpracownictwa usiłowały rozróść się na gruzach innych. To, że każdy ideał musi być przez kogoś pomyślanym i wskazywać komuś kierunek jego dążeń, nie przeszkadza jego ponadindywidualnemu charakterowi. Nazywać będziemy ideałem każdą z takich własności ludzkiego umysłu i woli, które jednostkom, w miarę, jak się przybliżają do pełnego ich w sobie urzeczywistnienia, dają coraz bezpieczniejsze rękojmie, że staną się ludźmi pełnowartościowymi. To znaczy: możliwie wolnymi od ciasnego egoizmu t. j. obojętności na to, co nie dotyczy celów wyłącznie własnych i najbliższej sfery interesów rodzinnych i zawodowych, od zaślepienia przez sympatje i niechęci, i od uległości dla podniet zmysłowych, a zarazem czynnymi najenergiczniej, najskuteczniej bądź to w zamiarze wzbogacenia wiedzy, powiększenia jej przejrzystości, zgodności jej wyników, bądź też tam, gdzie chodzi o zmniejszenie cierpień bezużytecznych a niezasłużonych, bądź wreszcie na polu organizacji i sprzęgań wszelakich ludzkich zachodów, ilekroć przyświeca nadzieja, że dzięki takim wysiłkom zmaleje liczba zderzeń i tarć między ludźmi, szkodliwych owocom ich pracy.

Naturalnie też i przyszłość społeczeństwa, jego odporność wobec wszystkiego, co mu zagraża; stopień udziału, jaki ono bierze w powszechnoludzkim postępie duchowym, uznania go za przydatne i potrzebne przez resztę ludzkości—każda z tych spraw przedstawia lepsze widoki, gdy w społeczeństwie jest więcej jednostek, w których się w znaczniejszej mierze ziściły przymioty umysłu i woli, spełniające owe zaznaczone już warunki, by można było upatrywać w nich ideały.

Nietylko mamy prawo pomyśleć jako możliwe, ale nawet jako dane z doświadczenia potocznego i historycznego, takie cechy żywota umysłowości ludzkiej, woli i nastrojów uczuciowych, że ze wzrostu ich natężeń i z ich zestroju, t. j. z ich należycie harmonijnego ustosunkowania wolno przewidywać w sposób uzasadniony objektywnie, logicznie, nieograniczone podnoszenie się egzystencji ludzkiej, jako tychże skutek niezawodny, jeżeli tylko nie wejdą w grę jakieś nadzwyczajne czynniki zakłócające, wobec których człowiek bywa słabą igraszką, jak katastrofy żywioło-

*) Artykuł poniższy stanowi rozdział wstępny z większej całości, pod tym tytułem przygotowanej do druku.

we, i rozpętanie się namiętności w czasie przewrotów społecznych lub wojen. Podnoszenie się zaś egzystencji ludzkiej trzeba rozumieć tak, iż człowiek, który się podnosi, staje się w swoich pragnieniach i dążeniach, a także w ich skuteczności, coraz mniej zależnym od swojego otoczenia fizycznego, od nieobliczalnych w niem zbiegów zdarzeń, co więcej, od własnych przemijających wzruszeń, od ślepych nawyków zmechanizowanych, od popędów niszczycielskich dziedzicznych lub już w ciągu jego życia nabytych, wogóle od tego, co go wyosobnia od współżyjących z nim ludzi lub nawet przeciwstawia ich interesom. „Podnosi się“ dalej człowiek, wyzwolony z początkowej swej ciemnoty, bezwładności i nieobliczalności, gdy uczy się cenić i w praktyce życiowej przekładać jako rzecz wyższą: poznanie prawdy, i danie jej świadectwa, ponad swe osobiste bezpieczeństwo i wygodę. Ceni równomierność w przydzielaniu sobie i innym warunków życiowego rozwoju i wzajemność w niesieniu pomocy wyżej od przewagi swej nad innymi i wpływu na nich jednostronnego i wogóle stawia ziszczanie powszechnego, przedmiotowego ładu wedle prawa miłości, uznanego w nim jako bezwzględne, boskie, ponad powiększenie mocy wyłącznie swojej lub swoich bliższych.

Należy się tu jednak wystrzegać złudzeń. Nie prędko ustaną spory o to, co jest w y ż s z y m i d e a ł e m. Umysły z przyrodzenia realistyczniejsze od innych i dbałe przedewszystkiem o to, ażeby ich wywodom nie odmówiono trzeźwości, nie zarzucono, iż nie liczą się z faktami, będą zawsze podkreślały, że do osiągnięcia wszystkich bez wyjątku celów, choćby najszczytniejszych, niezbędny jest odpowiedni zapas s i ł y. Gdy zaś chodzi o źródła takiego zapasu sił, to wprawdzie łatwo jest przekonać każdego wolnego od uprzedzeń o tem, że najpewniejsze podwaliny siły ludzkiej, podtrzymujące i utwierdzające wszystko inne, polegają na przymiotach psychicznych, na woli i inteligencji, oraz na przymiotach społecznego pożycia: karności i solidarności. Realista wszakże społeczno-etyczny doda zaraz zastrzeżenie, że jak materjał fizyczny sił (w postaci n. p.: środków do życia, surowców i narzędzi do pracy) jest na nic dla tego, kto go wziąć nie umie lub nie chce, albo użyć nie może z powodu społecznej anarchji, tak naodwrót i umysłowość i wola ludzi, z doświadczenia tutejszego znanych, nużą się i omdlewają, ustają w swych nazewnątrz widocznych funkcjach, gdy związanemu z niemi organizmowi zabraknie niezbędnego dla utrzymania się jego życiowych procesów, dla przemiany materji, zasobu skondensowanej w pokarmach, w wodzie i powietrzu energji fizycznej i czerpanej także ze świata ciał ochrony przed niepomyślnemi czynnikami klimatycznemi, i że nawet najsprawniejsza organizacja społeczna rozprzęga się pod grozą ostatecznej nędzy i przed widmem grożącej stąd śmierci.

W świetle takich to argumentacyj miałaby zdaniem wielu rozwiewać się w niwecz niezależna wartość poszczególnych przymiotów duchowych, temsamem i postanowień będących ich wyjawami. Złudnem okazywałoby się przyjęcie wartości wewnętrznej, przewyższającej wszystkie inne, a w szczególności wartości zewnętrzne, i przypuszczenie, że jest taka wartość wewnętrzna, która opiera się na poświęcaniu dóbr konkretnych, widzialnych, ogólnym, niedostrzegalnym zmysłowo, pożytków czasowych i namacalnych dobru charakteru, interesów wyłącznie własnych lub ludzi bliskich, cudzym w sensie szerszym, zbiorowym a wreszcie powszechno ludzkim. Bo gdyby rzeczywiście był człowiek tak całkowicie i wyłącznie zależny od tego, co się dzieje z jego ciałem i od tego, jakie wydarzenia sprzyjają trwaniu i rozrostowi jego ciała, toby musiało się przyjąć wypadki, w którychby cenniejszą dla niego było rzeczą, ochronić swoje życie i zdrowie, owładnąć i zużytkować jakiś niezbędny to tego celu przedmiot fizyczny, aniżeli dochować wierności zasadom etyki, np. nikogo nie wyzyskać, nie oszukać, dotrzymać przyrzeczeń, narazić się dla sprawy uważanej za słuszną i świętą i t. d. Wtedyby ścisła konsekwencja pozwalała na uznanie jednego tylko ideału, dla każdego żywo-ustroju od pierwotniaków do człowieka. Ideałem tym nie byłoby nic więcej, jak zachować i spotęgować swój byt organiczny bez kłopotania się o to, czy i czyim to nastąpi kosztem. Każdy inny nakaz, zalecenie lub rada, byłyby w porównaniu z tym głosem popędu samozachowawczego i woli mocy jedynie czemś pochodnem, uwarunkowanem przez nie. Nawet hasło pracy nad zahartowaniem swej woli musiałoby być połączonem z zastrzeżeniami: o ileby stąd nie groziło niebezpieczeństwo dla ciała i szkoda majątkowa. W podobnież ciasno wytyczonych granicach będą się musiały obracać żądania inne, takie, jak że trzeba starać się o doskonalenie swej wiedzy, o wydelikacenie w sobie głosu sumienia, wrażliwości na cudze cierpienia i istotne potrzeby, na wymagania sprawiedliwości, na interesy zbiorowe i powszechnoludzkie. Oczywiście cele opisane takiemi ograniczeniami i zastrzeżeniami niestanowiłyby już ideałów.

W istotności bowiem ideału mieści się, że przybliżenie doń daje się dowolnie powiększać, czy to przez wzrost intensywności pewnych cech, czy też przez powiększenie precyzji w ustaleniach i funkcjach, gdy błędy obserwacyjne i ich następstwa stopniowo maleją, a postępowanie staje się coraz wolniejszem od ułomności, przyczem pamięta stale dążący do ideału, że zawsze jeszcze będzie wiele pozostawać do zrobienia, gdyż ludzka wiedza i wola nie dochodzą nigdy do pełni doskonałości.

Kto obstaje przy zdaniu, że najwyższym wskaźnikiem ludzkiej etyki musi być utrzymanie się przy życiu i mnożenie psychofizycznej energji, ten nie może konsekwentnie mówić o ideałach świadomości jako takiej, ale co najwyżej o idealnem, t. j. możliwie postępującem przystosowaniu przymiotów umysłu i woli do celu ujętego zarazem jako cielesny i duchowy. W tem byłoby właśnie zachowywanie i rozwój życia ludzkich społeczności.

Już Bacon z Verulamu scharakteryzował trafnie stosunek człowieka do reszty przyrody słowami, iż nie zwycięża się jej inaczej, jak słuchaniem jej głosu (*non nisi obtemperando vincitur*), t. j. uważnem i nieuprzedzonem śledzeniem jej stałego biegu. Nie zaakcentował jednak przytem strony najważniejszej tego stosunku, mianowicie, iż człowiek dąży ostatecznie do opanowania przyrody, do wyzyskania wszystkich ukrytych w niej sił przez wydarcie jej tajemnic, a bynajmniej nie zadawala się niewolniczem dostosowywaniem się do jej nakazów, tak jak gdyby same w sobie były czemś świętem i nietykalnem. Tylko, gdy ktoś jest religijnie wierzący i widzi w przyrodzie dzieło Mądrego i Dobrego Stwórcy, albo gdy jak starożytny politeista ubóstwia zosobna poszczególne siły przyrody, zechce on uznawać jakieś nieprzekraczalne granice w zmienianiu porządku przyrodzonego. Jeśli te względy odpadły, to wtedy przyroda jest dla ludzi,

spragnionych życia, użycia i mocy, już jedynie nieprzebranym zbiornikiem zapasów energji, często zwracających się przeciw nim groźnie i bezlitośnie, ale dających się spożytkować wśród odpowiednich okoliczności pod warunkiem, że się zbada dość dokładnie te okoliczności i sposoby funkcjonowania owych energij. Niema tu zatem innego przystosowania, jak podejmowanych czynności do zdobywanego poznania, która z nich w danem, t. j. bliżej określonem miejscu i czasie wywoła stosunkowo najpewniej pożądany skutek, czyli okaże się najodpowiedniejszym środkiem do celu zgóry już założonego i przyświecającego świadomości, jak: żeby się zachować, rozwinąć lub wogóle doznać uczuć, wypróbowanych poprzednio jako przyjemne.

Musimy więc w dalszym ciągu śledzić, jakiemi to cechami żywe osobniki i całe ich gatunki zdobywają sobie szczęście dłuższego przetrwania w walce o byt i przewagę, która im umożliwia eksploatację otoczenia, osiągnięcie korzyści kosztem osobników i gatunków słabszych. Wiadome powszechnie zjawiska pouczają nas, że jednym gatunkom przychodzi w pomoc wielka płodność, innym siła drapieżna zwykle nie chodząca w parze z pierwszą własnością, innym (nie samym drapieżcom) wielka czujność i zwinność, innym wreszcie, jak gromadnie żyjącym mrówkom i pszczołom ogromna pracowitość i wytrwałość, nie zrażająca się niszczeniem ich gniazd i podbieraniem owoców zabiegliwości. Osobno też na bardzo skuteczną broń wyrabia się przemyślność i chytrość, a osobno instynkty stadowe: skłonność do zrzeszań się i wspólnej obrony. Tak przedstawia nam już życie poza obrębem człowieka widok różnych dróg, na których rozmaite gatunki, wykształceniem rozmaitych funkcyj, organów i dyspozycyj conajmniej p r z y b l i ż a j ą  s i ę do takiego samego (gatunkowo) celu, jakim jest samozachowanie się i rozwój. Nie można o wszystkich i raz na zawsze powiedzieć, że osiągają ten cel, ponieważ wiele gatunków pomimo bardzo celowych z ich strony zabiegów samozachowawczych wymiera lub utrzymuje się głównie tylko dzięki temu, że inny gatunek, dla którego celów są przydatne, a zwłaszcza człowiek, hoduje je, ażeby się niepotrzebnemi już do utrzymania gatunku osobnikami pożywić lub w inny sposób wyzyskać nagromadzoną w nim energję fizyczną.

Gdy zwracamy uwagę na świat społeczno-duchowy, na życie ludzkie, spostrzeżemy rychło, że tu ulega stopniowej redukcji liczba dróg, pozostających do wyboru, które się na dalszą metę okazują równie skutecznemi. Tak np.: wprawdzie i dziś jest kwestja odpowiedniego przyrostu ludności, t. j. w tej mierze, żeby dorównał przyrostowi w państwach sąsiednich, bardzo żywotną dla niektórych społeczeństw, jak dla francuskiego. Nie można jednakże stwierdzić, żeby to był główny, ani tem mniej jedyny środek obrony— mianowicie większa stosunkowo płodność. Owszem, są państwa (Polska, Włochy), którym chwilowo przysparza ona raczej kłopotów, zniewalając do prowadzenia polityki emigracyjnej, celem uniknięcia nadmiaru bezrobotnych i każe się liczyć z koniecznością wynarodowienia z czasem części wysyłanych za pracą uchodźców. Czynniki gospodarcze (możność lub niemożność wyżywienia liczniejszego potomstwa) krzyżują się tu wielokrotnie z obyczajowemi i religijnemi, z dążeniem z jednej strony do zachowania tej samej stopy i wygód, z drugiej strony z przekonaniem o niedopuszczalności środków, sztucznie ograniczających przybytek narodzin i wogóle nadwątleń instytucji rodziny monogamicznej, która naogół bardziej niż poligamja i inne luźniejsze stosunki zdaje się sprzyjać przyrostowi ludności.

Wśród innych środków walki o byt bieg naturalny kolei życia ludzkiego wykonywa daleko idącą selekcję: dobiera z nich odpowiednie harmonijnemu współżyciu. I tak wprawdzie uporczywie przechowują się, nietylko w skłonnościach i uzdolnieniach jednostek, ale także w budowie społeczeństw całych, w ich tradycjach i głęboko zakorzenionych psychicznych właściwościach plemiennych pociągi do zapewnienia sobie życia i wzmożenia jego uciech drogą rozboju, oszustwa i pasożytnictwa. Jednakże już rychło wytwarza się i stale zyskuje na sile tendencja, aby ograniczać użycie tych środków do osób i ich zbiorów, znajdujących się poza obrębem własnej, bliższej grupy społecznej. Odpowiedź dawana przez rozwijającą się powoli świadomość moralną na pytanie, kto jest komu bliższy, a kto dalszy, zależy w swem psychologicznem motywowaniu, niekoniecznie zresztą i logicznie poprawnem — od stosunku, w jakim pozostają ze sobą grupy ludzkie ze względu na intensywność swego poczucia wspólności rodowej, klasowej, narodowej lub zarazem też państwowej i religijnej.

W miarę, jak którykolwiek z tych węzłów społecznych się zacieśnia, rośnie groza, obrzydzenie albo prosta pogarda dla ludzi, którzy utrzymują się i wzmagają kosztem innych, przynależnych do tego samego zbioru, którzy uzyskują z tychże szkodą korzyści, bądź to zapomocą przewagi czysto fizycznej, czy też gospodarczej, a jeżeli zawdzięczają swe powodzenie większej od innych zręczności umysłowej, wyższemu sprytowi i ruchliwości, to powodem odrazy do nich bywa głównie okoliczność, że owa większa ich zręczność umysłowa wyładowuje się w nadużywaniu zaufania, w osłabieniu wiary w prawdomówność członków współżyjącej i współpracującej grupy ludzkiej, w potrzebę i pożyteczność wagi, przywiązywanej do wyjawów myśli i uczucia. Nieunikniona w stosunkach ludzkich zasada wzajemności wiedzie w tych wypadkach do represyj — jeżeli nie w natychmiastowych czynach, to w ocenach i usposobieniach dla jednostek danej grupie szkodliwych.

Dążenie do konkretnych ocen budzi się w każdym człowieku, którego umysł nie zleniwiał całkowicie i nie uległ zagłuszeniu przez namiętności lub przez biedę, nieznoszoną z mężnym, filozoficznym spokojem. Doświadczywszy z doznań własnych i z zachowań się ludzi otaczających, z jak wielką odrazą spotykają się pewne czyny, spełnione z pobudek samozachowawczych, ale godzących zaczepnie w cudze życie i dobro, miarkuje po spokojnem przemyśleniu całej tej sprawy do końca, że jest to w gruncie rzeczy obojętne, czy czyn taki, sprawiający odrazę, zaszedł wobec kogoś bliskiego, czy dalekiego. A to tembardziej, skoro stosunki pomiędzy ludźmi nabiorą pędu ku rozszerzaniu się, gdy coraz więcej jednostek i grup zaczyna wpadać w ramiona zrzeszeń, stałych związków lub doraźnych zebrań, zataczających coraz to dalsze kręgi. Nieprzekraczalną dla tych wzrostów granicą może być w zasadzie tylko cała współcześnie żyjąca i w przyszłości poprawnie przewidywana ludzkość, a wiara w byt pozagrobowy stara się nawet utrzymywać kontakt z ukochanymi zmarłymi.

Kto więc dojdzie do odczucia i zrozumienia ohydy, ukrytej w pielęgnowaniu własnego życia i jego powabów przez jakieś jestestwo, zdolne do uchwytywania wspólnych znaczeń (cech) i do ustosunkowy-

wań ich w sądach, a w tym sensie rozumne (*animal rationale* — człowiek) kosztem takiego samego życia innego człowieka — ten będzie mógł przyznać, że nie życie, jako takie, samo w sobie, może być najwyższym ideałem, lecz jedynie życie, nie dające powodu do zobrzydzenia go sobie lub innym.

Tak więc konsekwentnie pomyślanemi ideałami mogą być tylko pewne postacie (natężenia lub jakości) życia duchowego. One to dopiero rozstrzygają o tem, czy upragnione formacje polityczne i społeczne okażą się żywotnemi, zdolnemi do ostania się i do ciągłego rozwoju. Wola silna, rozumna, harmonijna w swej działalności na wewnątrz i na zewnątrz, czyli wylana dla drugich, ofiarna dla ogółu, godność własna i każdą osobistą szanująca, dokonywa cudów. Bez niej wszystko jest niepewne, zdane na łaskę przypadkowych zbiegów okoliczności, a ze stanowiska człowieka religijnie wierzącego—na łaskę wyższych zrządzeń, sprawiedliwie karzących za brak dobrej woli, poprawiających też upokorzanego uświadomieniem sobie nędzoty woli słabej i zsyłaniem nań konsekwencyj tej słabości, jakiemi bywają bolesne ciosy i przejścia.

Tak uzasadniają się trzy wstępne kardynalne twierdzenia, a mianowicie, że po 1-sze ideał nie może być nigdy czemś zamkniętem i skończonem i zawsze tylko do niego przybliżać się można w znanej nam egzystencji, że po 2-gie ideał przystosowania się do popędów samozachowawczych i rozwojowych oraz warunków życiowych jest w sobie sprzeczny, wiedzie do zburzenia ideałów najistotniejszych, co sie na nim samym ostatecznie mści, wreszcie po 3-cie, że nieograniczone potęgowanie cech duchowych, dających się dość ściśle określić i ustalić jako możliwe do pogodzenia ze sobą i jako cenne dla rozwoju duchowego ludzkości czyli jako wartości kulturalne, jest owym najwyższym celem własnym, podmiotowym, człowieka. Jego stopniowe osiąganie pociąga za sobą w następstwie zadowolenia stalsze, niezakłócone widokiem cierpień i szkód, jakieby wyrządzał innym ludziom, zachowując się i wzmagając z ich uszczerbkiem. Jak zaś w istocie takiego najwyższego celu podmiotowego mieści się, iż postęp ku niemu jest równoznaczny z możliwie najpomyślniejszem dla człowieka układaniem się jego stosunków społecznych i stosunków do reszty świata — tak też, jeżeli nie będziemy antropocentrystami, t. j. nie będziemy uważali człowieka za ognisko wszechbytu, ale tylko upatrywali w nim jedno z ogniw, spajające ziemską przyrodę żywą ze światem czystej wiedzy i myśli — to osiąganiu celu podmiotowego, odpowiedniego stanowisku człowieka w porządku powszechnym świata, musi towarzyszyć w proporcjonalnej mierze ziszczanie się zasad tegoż porządku, uwiarogodnionego jako wartość, czyli ogólnego ładu jako celu przedmiotowego.

Gdybyśmy mianem człowieka, jako gatunku (*species homo*) objęli ogół wewnętrznych warunków i czynników duchowego rozwoju osobników tego gatunku w kierunku najwłaściwszego dlań układu celów podmiotowych i przedmiotowych, to należałoby się nam liczyć z faktem, że doświadczenia dziejów okazują, jak dotąd, ów gatunek zbyt słabym i ułomnym, ażeby niezależnie od warunków zewnętrznych mógł i chciał w każdym czasie i w każdem miejscu wcielać dokładnie w swem myśleniu i działaniu zasady ładu umysłowego i moralnego. Jest mu danem tylko stopniowo, niekiedy dopiero po wiekach, przekonywać się, jak wielkie zło dlań płynie z gwałcenia tych zasad, a jak wielkie dobro z podporządkowywania się nim. A to go musi utwierdzać w przekonaniu, że nie jest ludzkim subjektywnym wymysłem ów ideał ładu, rosnącego wraz z duchową wielkością, ale iż wynika z Istoty twórczej, rozumnej nad światem potęgi, o której królowaniu i chwale opowiada tem wymowniej, im lepiej się urzeczywistnia w duszach ludzi i w ich między sobą stosunkach, im silniej je ku sobie pociąga.

Kraków WITOLD RUBCZYŃSKI

# O TWÓRCZOŚCI JÓZEFA WEYSSENHOFFA

## *Z OKAZJI PRZYZNANIA MU NAGRODY LITERACKIEJ MIASTA POZNANIA*

POPRZEZ satyrę społeczną Weyssenhoffa, zarówno jak przez jego poezję przyrody, snuje się i przeplata podwójne pasmo dyspozycyj psychicznych autora—aktywność i kwietyzm. Falowanie obu tych tendencyj tworzy pozory sprzeczności wewnętrznych, nieopanowanych należycie przez pisarza. A jednak po bliższem wejrzeniu przekonamy się, że aktywność i kwietyzm są w dziełach Weyssenhoffa dziwnie dobrze sharmonizowane. Wśród pokolenia lat przełomowych między ubiegłym a naszym wiekiem, pokolenia, które cechował bądź przerost kwietystycznego estetyzmu i wyuzdanej zmysłowości, bądź też tęsknoty do czynów heroicznych, nadludzkich, Weyssenhoff należy do niewielu zrównoważonych i umiarkowanych, postępujących drogą środkową. Jego bohaterowie tchną energją i zapałem do pracy, ale przytem nie wyrzekają się nagół rozkoszy i szczęścia osobistego. Z przyrody weyssehoffowskiej spływają na ludzi najzdrowsze natchnienia moralne, równocześnie z najmilszemi doznaniami zmysłowemi. Praca wytężona i pożytek społeczny—z jednej, a błogie używanie przyjemności doczesnych z drugiej strony, — oto bieguny, między któremi odbywa się fluktuacja uczuć i dążeń.

Jako filozof praktyczny, rozumny i gorący miłośnik swego narodu, jest Weyssenhoff godnym kontynuatorom polskiej parenetyki,[1]) czyli literatury moralizującej, która od Reja, Frycza, Skargi, A. M. Fredry i Krasickiego rozwija się bujnie aż po Aleksandra Świętochowskiego. Jako piewca słodyczy wrażeń zmysłowych i moralista w jednej osobie, przypomina autor „Puszczy" twórcę „Satyra", „Zgody", „Sobótki" i „Fraszek". Jan Kochanowski oscyluje, nieco podobnie jak Weyssenhoff, między aktywnością a kwietyzmem, między dydaktyką narodową a sensualistyczną kontemplacją powabów świata.

Jakkolwiek epikurejska napoły, a napoły polsko-ziemiańska skłonność do sybarystycznego dobrobytu przewija się uporczywie w dziełach Weyssenhoffa, to jednak przecenianie jej doniosłości jest nieuzasadnione. Pozytywny stosunek autora do ideałów społecznych i narodowych oraz wrodzone poczucie dobrego smaku

---

[1]) Termin wprowadzony do badań literackich przez Prof. Wilhelma Bruchnalskiego w rozprawie pt. „Rozwój twórczości pisarskiej Mikołaja Reja". Rozprawy Akademji Umiejętności. Wydz. Filozoficzny. Serja II. T. XXIX.

uniemożliwia zbyteczne wyskoki sensualizmu. W ciągu rozważań dotychczasowych [2]) podkreślaliśmy niejednokrotnie silną zmysłowość weyssenhoffowskich obrazów przyrody i dodajmy, iż odznaczają się nią również postaci kobiece: pani Hohensteg i Marynia Helle w „Sprawie Dołęgi", pani de Sertonville w „Synu marnotrawnym", Hela Latzka w „Hetmanach". A jakże zmysłowo odczuwa pisarz np. poezję Słowackiego, który „daje najwyższą rozkosz nerwowo-estetyczną (jeżeli tak powiedzieć można) przy smakowaniu pojedyńczych strof, utworów krótkich, lub wyjątków z dłuższych" („Mój Pamiętnik Literacki" s. 176). W znamym bibljofiliźmie Weyssenhoffa, w kolekcjonerstwie książek rzadkich i elegancko wydanych, domyślamy się też, obok zainteresowań intelektualnych, satysfakcji zmysłowej. Wreszcie wzmianki gastronomiczne o dobrej kuchni, o smacznych potrawach i przyprawach, o miłej atmosferze towarzyskiej i zdrowem powietrzu wiejskiem, zaostrzającem apetyt, świadczą o skłonności do uciech stołu *á la* wybredny *„Gourmet"* Brillat-Savarin, a niekiedy w stylu szlachty z „Pana Tadeusza" albo z powieści Ignacego Chodźki.

Pomimo to wszystko twierdzenia krytyków, zwłaszcza W. Feldmana, o hedonizmie Weyssenhoffa są powierzchowne, nieścisłe i fałszywe, gdyż nie ten jest hedonistą, kto, jak Weyssenhoff, obok innych motywów głównych, przedstawia estetykę rozkoszy, lecz ten jedynie, kto uznaje rozkosz fizyczną za cel życia. Takiej filozofji niema oczywiście w pismach Weyssenhoffa ani śladu. Poza tem jego rozkosznictwo ma charakter nawskroś artystyczny, od przyjemnych wrażeń zmysłowych, wysubtelnionych przez intelekt i tradycyjną kulturę uczuć, aż po entuzjastyczne, uduchowione symfonje nastrojów i mądre refleksje. W. Feldman, rozwijając tezę o hedonice weyssenhoffowskiej, stara się ująć w tej płaszczyźnie całą twórczość autora „Puszczy", pisząc: „A czyż używaniem smakoszowskiem nie jest także jego satyra?... Na gruncie tego hedonizmu schodzi się artysta krajobrazu z artystą-satyrykiem, współczującą monadą rozkoszy być pragną. Tylko pocóż wówczas namaszczona nuta sentymentalizmu i apostolstwa?" [3]). Otóż to właśnie! Feldman nie chciał traktować na serjo moralistyki Weyssenhoffa, gdyż konserwatyzm i nacjonalizm pisarza różnił się zasadniczo z poglądami krytyka. Feldman nie odczuwał i nie rozumiał, że pomostem łączącym satyrę Weyssenhoffa z jego poezją przyrody jest kompleks tych samych ideałów etycznych oraz *sui generis* sensualizm i realizm — nigdy zaś hedonizm — w poglądzie na świat i w sposobie odtwarzania kultury i natury. Że nietylko używanie smakoszowskie było motywem satyryki Weyssenhoffowej, czuje chyba każdy nieuprzedzony czytelnik; poprzez formę spokojnej elegancji przebija w niej gorycz, odraza i surowe potępienie. W zupełnej zgodzie z duchem i tendencją satyrycznych powieści Weyssenhoffa jest np. następująca uwaga autora o genezie „Podfilipskiego": „Nie potrzebuję dodawać, że zamiar pisarski przyszedł mi *a contrario*, nie z umiłowania przedmiotu, lecz z oburzenia na przedmiot... zasadnicze oburzenie przerabiałem w sobie na rozkosz tworzenia satyry" („Mój Pamiętnik literacki" s. 10—11).

Podłożem sensualizmu opisów natury u Weyssenhoffa jest dobre samopoczucie oraz ogromna intensywność i precyzja jego wrażeń zmysłowych i to nietylko wrażeń wzrokowych, ruchowych i słuchowych, które literatura najczęściej suggeruje, ale również wrażeń węchowych, smakowych, mięśniowych i ustrojowych. Mówiąc językiem psychologji, Weyssenhoff odznacza się wielką wrażliwością, gdyż posiada bardzo niski próg podniety oraz wielką czułością, gdyż posiada niski próg różnicy. Nerw optyczny pisarza, wyborne efekty akustyczne i motoryczne uwydatniliśmy dostatecznie w ciągu analizy szczegółowej, tutaj musimy podkreślić jeszcze dużą rolę wrażeń powonieniowych. Weyssenhoff nietylko suggeruje wiernie, o ile to możliwe, zapachy przyrody na Riwjerze czy na litewskiej Szepecie, ale w wyobraźni jego asocjują się wonie z poszczególnymi ludźmi i krajami. Duszą Litwy jest poezja „rozcieńczona w zapachu, płynąca rytmem jezior i pagórków" („Unja" str. 114). Powonienie zastępuje czasem wzrok, jak u psów; przykład z „Gromady": „— Niema jej tutaj? — dodał, wietrząc raczej, niż szukając ślepemi oczyma" (s. 84). Wiadomo, że Maeterlinck w traktacie o „woni kwiatów" dopatruje się w ewolucji węchu ludzkiego tajemniczych niespodzianek, nazywając go jedynym zmysłem „sięgającym w przyszłość", który: „Na razie zajmuje się... spostrzeżeniami najgrubszemi, najmniej subtelnemi i ledwo domyśla się, pomagając sobie wyobraźnią, owych harmonijnych emanacyj, otaczających nimbem woni wielkie przejawy atmosfery i światła. Podobnie jak zaczynamy powoli ujmować woń deszczu, czy zmroku, będziemy zapewne w stanie kiedyś pochwycić woń śniegu, lodu, rosy porannej, przeblasków świtu i jaśnienia gwiazd" [4]). Otóż Weyssenhoff jest zapewne tym z pisarzy polskich, który na drodze rozwoju, tak pomysłowo malowanej przez poetę belgijskiego, zaszedł dotychczas najdalej.

Wszechstronność i subtelność wrażeń zmysłowych Weyssenhoffa jest fundamentem nadzwyczajnej plastyki obrazów i sumiennego realizmu w jego dziełach. Przytaczamy tu znów cenne wyjaśnienie autora: „Wszystkie moje powieści i nowele układałem równolegle do życia spółczesnego, a nawet do życia, którego własnemi zmysłami doświadczyłem. Nie świadczy to, abym kopjował znane mi osoby żyjące albo nawet obrazy przyrody, owszem przenosiłem, zmieniałem, dociągałem tysiące wzorów do obranego przezemnie efektu i celu... Ale gdym już miał ustalone w wyobraźni moje postaci, sceny i obrazy, gospodarowałem swobodnie w tym światku urojonym, lecz podobnym do prawdy. Im lepiej szło pisanie, tem wyraźniej słyszałem głosy, widziałem ruchy, obejmowałem oczyma architekturę i przyrodę, widziałem skąd pada światło, jak się barwią bryły bliskie i dalsze, czułem porę dnia, zapachy". („Mój Pamiętnik Literacki" s.119—120). Dzięki umiłowaniu prawdy, której pisarz zasadniczo nie deformuje, lecz stylizuje realistycznie, oraz dzięki potężnej plastyce wyobraźni artystycznej, jego opisy tchną solidną znajomością natury, budząc zaufanie do wiedzy i finezji epika i malarza. Pozytywne nastawienie wobec rzeczywistości płynie z głębin instyktu, krystalizując się jako optymizm, zabarwiający wyraźnie pogląd na świat autora „Puszczy".

Uporczywy realizm Weyssenhoffa, idący w parze z brakiem wyobraźni historycznej — nawet w historję opisywanego krajobrazu sięga myślą wyjątkowo [5]) —

---

[2]) Patrz artykuł p. t. „Weyssenhoff jako epik polskiego krajobrazu" umieszczony w nr. 18 „Myśl Narodowej" z r. b.

[3]) Por. Wilhelm Feldman: „Współczesna literatura polska". Wyd. siódme. Lwów—Warszawa, s. 356.

[4]) Per. Maurycy Maeterlinck „O woni kwiatów" w książce p.t. „Inteligencja kwiatów". Przekł. F. Mirandoli, Bibljoteka Laureatów Nobla. T. 13, s. 89. Lwów-Poznań 1922.

[5]) Różni się tem Weyssenhoff silnie od Żeromskiego, który ma dar wczuwania się w historję pejzażu, na co zwrócił uwagę Zygmunt Wasilewski w książce p. t.: „Wspomnienia o Janie Kasprowiczu i Stefanie Żeromskim" Warszawa 1927, s. 124.

wyraził się w upodobaniu do obserwacji współczesnych zwyczajów i obyczajów aż do najdrobniejszych szczegółów, gier, zabaw, ubiorów, mody. Autor zdaje sobie sprawę z tego, że utrwalone artystycznie rysy napozór błahe, lecz znamienne dla epoki lub warstwy społecznej, będą miały kiedyś dodatkową wartość dla historyków. „Zwłaszcza dokumenty życia polsko-litewskiego w ziemi kowieńskiej, odwzorowane sumiennie, a przesłonięte dzisiaj mgłą ciężką i nieustępliwą, mogą zainteresować kiedyś badaczy przeszłości tamtej krainy" („Mój Pamiętnik Literacki" s. 124). Predylekcja do odtwarzania różnych połaci ziem polskich z ich właściwą indywidualnością kulturalną i odrębnym pejzażem, owa miłość do całostek fizycznych i duchowych, tworzących ojczyznę — oto motywy dla których musimy uznać Weyssenhoffa za wyraziciela regjonalizmu w literaturze. Oczywiście autor „Sobola i panny" jest regjonalistą instyktownym, nie programowym.

Prąd regjonalistyczny, rozwinięty w Europie, zwłaszcza we Francji w ostatniem ćwierćwieczu, jako reakcja na skrajny urbanizm nowoczesnej przemysłowej cywilizacji, a poniekąd też na przesadny centralizm administracyjny,—w Polsce przejawił się swoiście w literaturze pięknej i naukowo-popularnej. Ze stanowiska historycznego możnaby tu szukać protoplastów wśród poetów renesansowych, a specjalnie wśród naszych romantyków, którzy rozmaite okolice Polski z wielkim talentem opiewać zaczęli. Naturalizm rozszerzył i pogłębił znajomość szczegółów krajobrazowych i techniki ich przedstawiania, to też odtąd przyroda wielu regjonów Rzeczypospolitej staje się motywem częstym w najznakomitszych dziełach literackich epoki współczesnej.

Wprowadzając do swych utworów Lubelszczyznę, Mazowsze, Podole, Wielkopolskę zasługuje Weyssenhoff tylko w pewnej mierze na miano regjonalisty, gdyż nie pochwycił w sposób wybitnie oryginalny i wnikliwy cech charakterystycznych tych prowincyj. Dopiero jako poeta Litwy i Polesia jest regjonalistą w całej pełni. Rzecz jasna, iż Weyssenhoff nie stara się o wyczerpanie przedmiotu, nie studjuje wszystkich znamion krainy, jako naukowiec, lecz wydobywa jedynie elementy ulubione, przydatne do swej roboty twórczej, a wydobywa je z bystrą, wprost odkrywczą intuicją, dokładną obserwacją i nawskroś artystyczną ekspresją; prześwietla ziemię swych przodków oraz ludzi bliskich sercu gorącą, dziedziczną miłością. Tragedją sympatyj regjonalnych Weyssenhoffa jest fakt, że okolice Kowieńszczyzny i Polesia, które dały mu najwyższy impuls twórczy, znajdują się dziś poza granicami Państwa Polskiego.

Jeśli autor „Puszczy" jest regjonalistą, to z tych, którzy kult odrębności lokalnych uprawiają dla poszerzenia i urozmaicenia wspólnej, integralnej cywilizacji narodowej. Sztuczne wysuwanie pierwiastków krajowych litewskich, czy białoruskich, naprzekór odwiecznej a wyższej kulturze polskiej, zwłaszcza zaś dążność do autonomji, wyśmiewa i potępia pisarz w swej „Unji". Patrjotyzm partykularny podporządkowuje istności duchowej nadrzędnej, Polsce, nosicielce cywilizacji rzymskiej na północ i wschód.

Weyssenhoff należy do tej kohorty europejskich poetów i prozaików, która, wcielając w swe dzieła poważne dobra ideowe i estetyczne, jest zarazem przeciwwagą jednostronnych entuzjastów świata miast i maszyn. Litwa i Polesie weyssenhoffowskie—to krewniaki ziemi łowickiej Reymonta, Kielecczyzny Żeromskiego, Kujaw Przybyszewskiego, Podhala Witkiewiewicza, Tetmajera, Kasprowicza i Orkana, Beskidu — „Czartakowców". W literaturach obcych znajdujemy też wspaniałe analogje, jak Prowancję Fryderyka Mistrala, Lotaryngję Maurycego Barrèsa, Burgundję Pawła Cazina, Dorsetshire Tomasza Hardy etc.

Poetykę Weyssenhoffa można zamknąć w klasycznej dewizie Horacjusza: *„prodesse et delectare"*, to też poezja przyrody w dziełach autora „Puszczy" ma znamienny charakter etyczny i estetyczny. Mistyka, tak częsta w stosunku do natury pod postacią panteizmu, zwłaszcza w piśmiennictwie niemieckiem, przebija się w utworach Weyssenhoffa dość rzadko.

Jako moralista i deskryptor jest Józef Weyssenhoff typowym, a równocześnie nawskroś indywidualnym reprezentantem parenezy i opisowości, dwu tradycyjnych motywów, będących chlubą literatury polskiej od renesansu i baroku, poprzez oświecenie, romantyzm i naturalizm aż po modernizm i dobę obecną.

Lwów MIECZYSŁAW PISZCZKOWSKI

# HYMN DO POWIETRZA

Niosące falę śpiewu mojego na wietrze,
Muzyką własnych szumów schodzące z urwiska,
Pochwalone bądź — wszędzie obecne powietrze!

*

Błękicie niebios! Żywy płomieniu ogniska!
Farbo zórz, której ręka niczyja nie zetrze,
Mistrzu mistrzów, odwieczny twórco bez nazwiska!

*

Ty, którem się kołysze wiecznie las wysoki,
Które unosisz pszczeli rój i ptaków loty,
A po otchłaniach białe przeganiasz obłoki,

*

Ty, srebro wodospadów, iskier deszczu złoty!
Piano fal, którą kwitnie ocean szeroki,
Pochwalone bądź: ciche westchnienie tęsknoty!

Siewco mądry, skrzydlate noszący nasienie!
Morze dusz, któreś dziecku pierwszy oddech dało,
Które weźmiesz na nowy świt ostatnie tchnienie,

*

Leśnych zacisz przewonnych i róż wieczna chwało!
Lipcowego południa wiszące płomienie!
Pochwalone bądź, żeś się przed wiecznością stało!

*

Ty, które w pierwszym znoju naszym byłeś z nami —
Miłosierna pomocy strudzonego człeka,
Ciągle obracająca wiatraków śmigami!

*

Ty najlepsze! radosne, goniące z daleka
Biały żagiel, wód bardzo rozległych drogami
Do dziecka, co samotne tam na piaskach czeka,

*

Bądź zdrowe... Niech się zdrowiem twojem świat weseli!...

MICHAŁ PAWLIKOWSKI

# DO CZYTELNIKÓW

Zwracamy się z prośbą do Szanownych Czytelników „Myśli Narodowej“ o upominek gwiazdkowy. Upoważnia nas do niej przyjacielski stosunek, okazywany przez czytelników wydawnictwu.

Prosimy o rzecz drobną: aby każdy, kto dobrze życzy „Myśli Narodowej“, zechciał zyskać dla niej

**JEDNEGO ODBIORCĘ.**

Musimy postawić pismo na właściwą stopę samopocą i w tem będzie dowód żywotności narodowego ruchu umysłowego.

Do zeszytu niniejszego dołączamy czeki na PKO. nr. 3.105.

Prosimy przytem o wczesne zamawianie pisma na nowy rok 1930.

Na żądanie wysyłamy numery okazowe.

# GŁOSY

## WPŁYWY I WPŁYWY

NA kongresie pedagogicznym w Poznaniu w lipcu r. b. p. minister oświecenia publicznego Czerwiński wygłosił mowę o ideałach wychowawczych, w której podniósł wysoko typ młodzieńca bojownika, ponad „pracownika“, przypominającego „carski ideał pokornego poddanego“. Wedle streszczenia, podanego w artykule wstępnym „Myśli Narodowej nr. 46, mówił p. minister o tem, że

„W naszej praktyce szkolnej uważano dotychczas za jedynie wartościowy typ „pracownika“, bo on jest dla szkoły łatwiejszy, jako bojaźliwy i posłuszniejszy. Ta jednostronność jest krzywdząca i szkodliwa. Nie wolno nam zapominać, że bojownik nigdy nie mógł znieść niewoli i dlatego w nim przedewszystkiem są te pierwiastki, które dla naszego dzisiejszego zadania są cenniejsze, natomiast pracownik paktował i godził się z niewolą“.

Z naszego stanowiska mieliśmy to do zarzucenia temu poglądowi, że w drodze takiego przeciwstawienia niepodobna dojść do ideału syntetycznego wychowania, według nas bowiem każdy pracownik powinien być w pewnem znaczeniu bojownikiem, a walkę traktować powinien jako pracę dyktowaną obowiązkiem.

W kilka miesięcy po swej przemowie o ideale wychowawczym p. minister Czerwiński wystosował wezwanie do senatów szkół akademickich, w którem wyraża powątpiewanie, czy bojowość dzisiejszej młodzieży akademickiej jest autentyczna. Nawet więcej: utrzymuje kategorycznie, że młodzież występująca na wiecach prostetacyjnie, jest tylko narzędziem pewnych sfer w walce politycznej z rządem. „Młodzież akademicka ma zastąpić brak w danym obozie t. zw. mas, podatnych, do burzliwych demonstrancyj ulicznych“

Jest w tem mniemaniu o młodzieży dzisiejszej duża doza pesymizmu. W ideale bowiem wychowawczym bojownika, ważnym momentem moralnym jest samodzielność popędu, osobista odpowiedzialność za czyny. Przypuszczenie więc, że wybór najlepszej młodzieży polskiej w szeregu ognisk może być narzędziem niejako technicznem tylko, używanem dla celów dla niego obcych, przypuszczenie tak skrajnie pesymistyczne musi być bardzo bolesne dla wychowawcy, mającego tak określony ideał kultury bojownika.

Opinja publiczna tego pesymistycznego poglądu nie podziela. Młodzież polska w najcięższych dla narodu chwilach, przez cały czas rozbiorów, kiedy starsi rezygnowali z walki, dawała dowody samodzielności. W miarę postępów, jakie w kulturze politycznej robiło całe społeczeństwo, młodzież coraz mniej zawierzała się odruchom uczuciowym, a coraz więcej brała za przewodnika swego rozumienie interesu narodowego. Gdyby nie ona, odkarmiająca społeczeństwo dopływem świeżych instynktów narodowych, czyż zatliłoby się po wojnie życie tak pełne z pod popiołów w. XIX? Czyż nie mamy w świeżej pamięci, jak w r. 1918 podwórzec pałacu Kazimierzowskiego o tej porze właśnie widziało się zalany białemi czapkami akademików. Były to wiece, które skończyły się uchwałą: wszyscy na obronę Ojczyzny, a uniwersytet na kłódkę! Któż tam wpływał ne tę bohaterską generację? jakież to sfery używały jej za narzędzie? Albo gdy młodzież rzuciła się na obronę Lwowa? albo gdy ginęła na polach walki w r. 1920?

Nikt nie wpływał—w tem znaczeniu nadużycia czyjejś woli — albo: wpływali wszyscy, nie tylko żyjący, wpływali ci, co zmarli i ci, co przyjdą — wpływał duch narodu.

W życiu społecznem ani jednostki, ani grupy, ani pokolenia nie mogą być uważane nigdy tak, jakoby były niezależne od wpływów środowiska w jakichkolwiek poczynaniach. Ale młodzież dojrzała, dająca wyraz swej wrażliwości politycznej tak jednomyślny we wszystkich punktach kraju, nie jest zjawiskiem bynajmniej dwuznacznem. Byłoby niepodobieństwem psychologicznem, żeby mogła ona dać się użyć za „narzędzie“ przypadkowej woli, za surogat t. zw. mas do użytku ulicznego.

Gdyby tak łatwo było tę młodzież zdobywać wpływami dla jakichś celów partykularnych, to przecież najłatwiej byłoby ją zdobyć np. „sanacji“, która ma najwięcej sposobów wywierania wpływu i środków. Ale moralnie wpływy wpływom nierówne.

Młodzież obecna, jak to widać z tylu wystąpień jej publicznych w latach ostatnich i z publikacji, w których się ze swych dążeń i ideałów legitymuje, wykazuje wiele dojrzałości politycznej. Z. W.

## REAKCJA W KULTURZE

ZNALAZŁ się jakiś Tadeusz Rzewuski, który w konserwatywnym organie ziemiańskim „Dniu Polskim“ wypisał dytyramb o wartościach literackich mów i artykułów p. ministra spraw wojskowych Józefa Piłsudskiego.

„Czytałem i czytam — pisze on — artykuły i mowy i cieszę się coraz bardziej. Lżej po nich oddychać i myśl świta, że przecież po tym literackim czynie będzie można na terenach Rzplitej mówić, co się myśli“ i t. d.

Podobnie radość wyraził w swoim panegiryku Cezary Jellenta. Ale ten może z przesytu kultury, a w każdym razie z gorliwości pośrednictwa. Typowy jest Rzewuski. Ten—być może—istotnie rad, że wolno mu zrzucić z siebie przymus kultury dwu stuleci, która się źle przyjęła, Odpręża się w nim dusza, jak zwolniona sprężyna, do wieku XVII.

Historyk kultury polskiej według tych objawów smaku literackiego lat naszych rozezna, ile jeszcze prostoty Paska w gustach a mazurskiej chytrości w pochwałach spoczywało w w. XX na spodzie dusz polskich. Popuszczając pasa, jak za Sasów, dawano

folgę upodobaniom i temu najłatwiejszemu kierunkowi popędów, jaki człowiek znajduje w służeniu możnym.

Był taki okres — powie jakiś przyszły Brückner— w którym szybko i z ulgą cofano się w Polsce do stanu pierwotnego. Stało się to tym trafem, że do dyktowania smaku nadarzyli się ludzie ze wschodu, najpóźniej włączonego do obrotu polskiej cywilizacji. Polska, od granicy zachodniej do wschodniej w kulturze coraz świeższa, żyła jednocześnie według wzorów conajmniej trzech stuleci. Tak się zdarzyło, że w początkach 20-go wieku swoją władzę państwową, zatraconą od rozbiorów, organizowała wtedy z piewiastków wschodnich. Myśl wychowawcza tutaj się ogniskowała, czyniąc zamęt w pojęciach kulturalnych ziem zachodnich. Ferment ten odbywał się na Mazowszu z Warszawą, gdzie nowoczesna cywilizacja nie zdążyła się jeszcze utrwalić.

Tak będą pisali. Z. W.

# WYCHOWANIE NARODOWE

## UŁATWIENIA

POD wpływem sentymentalnych deklamacyj pisarza, który wcale nie znał historji, a bardzo licho i fałszywie rozumiał naturę ludzką, tj. Jana Jakóba Rousseau, powstały nowożytne doktryny pedagogiczne, obowiązujące do dnia dzisiejszego. Wprawdzie Rousseau należy już dawno do rupieciarni starych przeżytków, ale ponieważ jego żądania dają się deklamacyjnie i z westchnieniem oraz lirycznemi zawraceniami oczu uzasadniać, pozostały do dzisiaj nakazem obowiązującym. Pedagogowie, nie umiejący utrzymać porządku w klasie, ani czegokolwiek nauczyć — wizytatorzy i instruktorzy, nie znający się wcale na pedagogji, uciekają się do niewyczerpanej krynicy „postępowych", nowożytnych, pięknobrzmiących frazesów o nieprzeładowywaniu młodzieży, o nieprzeciążaniu jej pamięci, o uczeniu wszystkiego w klasie i nie zadawaniu niczego na robotę domową.

Młodzież ma być uwolniona od wszelakiego trudu, od obowiązku jakiegokolwiek natężenia. To jest hasło dni dzisiejszych, hasło postępu, *dernier cri* pedagogji czy raczej pedagogicznej mody blagierskiej.

Gdyby nasze władze dawały każdemu, kto prześlęczy osiem lat w szkole, przynajmniej pół miljona, jeżeli nie cały miljon kapitału, aby sobie żył wygodnie z procentów, owa dbałość o to, ażeby młodzież ustrzec przed wszelkiem natężeniem, miałaby może sens i cel. Poco chłopcu psuć młode lata pracą, skoro go czeka beztroskie, wygodne, próżniacze życie?

Ale u nas młodzież jest uboga, często nędzna. Po ukończeniu szkół musi szukać kawałka chleba, zwalczać rywalizację, żyć w niedostatku i często bardzo wytężoną pracą dorabiać na ubranie czy mieszkanie, musi całe życie borykać się z niedolą i pracować. Otóż szkoła, obliczona na usuwanie wszelkiego trudu z przed młodzieży nie przygotowuje jej do dalszego życia. Wszędzie życie jest ciężką walką o byt, ale w naszej spauperyzowanej Polsce jest ta walka cięższa, przykrzejsza, mniej estetyczna niż w reszcie Europy.

Młodość jest tą porą, w której rozwijają się siły duchowe i fizyczne, potrzebne w dalszem życiu. Szkoła zabiera młodzieńcowi całą młodość. I zabrawszy ją, wbrew wymaganiom życia, chroni go przedewszystkiem przed wszelkim wysiłkiem —a przecież tylko ćwiczenie, a więc trud, wysiłek wyrabia siły.

Jest zatem nasza szkoła odosobnianiem młodzieży od życia po to, ażeby jej przeszkodzić, ażeby nie dopuścić do nabrania przez nią sił na dalsze życie. Deklamatorzy o nieprzeciążaniu młodzieży, polegającem na tem, żeby młodzież uchronić przed wszelkim trudem, niech nazwą szkołę taką właściwem imieniem: hodowlą sztucznych niedołęgów życiowych, albo zakładem dla zabijania i tłumienia siły lub czemś podobnem.

Jeżeli ci, którzy wydają podobne zarządzenia, umieją sami cośkolwiek wogóle, to powinni sobie przypomnieć, w jaki sposób nabyli tą wiedzę. A wtedy zobaczą, że im większy trud włożyli w nabyciu pewnej umiejętności czy biegłości, tem lepiej ją posiadają. Przecież nauczenie się obcego języka jest przyswojeniem sobie kilku czy kilkanastu tysięcy wyrazów, form i wyrażeń, a te przyswaja się sobie przez powtarzanie. Jeżeli więc uczeń ma coś wiedzieć i na dłuższy czas zapamiętać, to musi powtarzać. A zapamiętanie kilkanastu tysięcy obcych słów i form jest sprawą pamięci — skoro zatem wprowadza się do szkoły obce języki, nie powinno się wypisywać surowych zakazów nauki pamięciowej. Wiedzieć czy umieć bez pamiętania jest niedorzecznością — a taki absurd głoszą i nakazują władze wyższe w szkole.

W czem leżą te ułatwienia, mające uchronić młodzieńca przed natężeniem pamięci i wogóle władz umysłowych? A więc naprzód aż cztery typy szkoły do wyboru. W każdym typie pewne przedmioty do wyboru. Ten młodzieniec wybiera łacinę, ten znów nie potrzebuje francuszczyzny... [1])

A więc żaden uczeń nie musi uczyć się wszystkich przedmiotów, udzielanych w szkole danego typu. To jest grube ułatwienie. Ale to nie wszystko. Uczeń może dostać z jednego przedmiotu cenzurę niedostateczną i mimo to przejść do wyższej klasy.

W szkołach rosyjskich i austrjackich niedostateczna cenzura z jednego przedmiotu pociągała za sobą obowiązek zdawania poprawki po ferjach i zależnie od wyniku tego egzaminu uczeń albo przechodził do klasy wyższej, albo musiał powtarzać tę samą klasę [2]).

U nas poprawki skasowano i uczeń z jedną notę niedostateczną otrzymuje promocję. Proszę dobrze rozważyć: mamy aż cztery typy szkół, a w każdym z nich pomija się kilka przedmiotów, udzielanych w szkole drugiego typu. W żadnej zatem nie daje się wszystkich przedmiotów, uważanych za potrzebne do t. zw. „ogólnego" wykształcenia. Jest to pierwsze przebrakowanie. Z przedmiotów, udzielanych w szkole pewnego typu, uczeń sam jedne wybiera, drugie odrzuca — jest już drugie przebrakowanie. Z wybranych zaś przez to podwójne sito przedmiotów, może się jeszcze jednego przedmiotu wcale nie uczyć, a i tak przejdzie do matury.

System rosyjski i austrjacki t. zw. egzaminów poprawczych po wakacjach, nie pozwalał na ostentacyjne lekceważenie przepisów — system polski do tego lekceważenia zachęca. Głupcem jest ten, który się wszystkich

[1]) Autor ma na myśli niewątpliwie wprowadzoną w naszych szkołach średnich zasadę jednego języka nowożytnego (nie tyczącą się zresztą tak zw. gimnazjów neohumanistycznych, gdzie obowiązują dwa języki nowożytne). Zasada ta daje uczniowi możność wyboru jednego z dwu języków nowożytnych, udzielanych w szkole. Prawo wyboru między łaciną a językiem nowożytnym nie istnieje, o ile wiadomo, w żadnym typie szkół. Natomiast wybór taki jest możliwy przy maturze (przyp. Red.)

[2]) O ile chodzi o szkoły austrjackie, to na kilka lat przed wojną na zasadzie rozporządzenia min. Marncheta wprowadzono tam w niższych klasach system warunkowego promowania do następnej klasy tak zw. uczniów „naogół uzdolnionych", t. j. z niedostateczną notą z jednego przedmiotu, z zastrzeżeniem, że w razie ponownej niedostatecznej cenzury, uczeń powtarza następną klasę. Ten sam system warunkowych promocyj przyjęto w naszem szkolnictwie, z rozszerzeniem go na klasy wyższe, co wydaje się niesłuszne. „Poprawki", które w Rosji możliwe były nawet z dwu przedmiotów, u nas zupełnie usunięto. (Przyp. Red).

przedmiotów uczy, skoro może przejść wyżej z jedną „dwóją".

A na tem nie koniec. Z tych przebrakowanych przedmiotów nie wszystkie zdaje się przy maturze. Następuje teraz czwarte wybieranie. A kiedy już uczeń dokonał i tego wyboru, przez rok, czasem przez dwa ostatnie lata pobytu w szkole nie uczy się faktycznie przedmiotu, z którego nie będzie składał egzaminu maturalnego.

Te ułatwienia dozwolone stają się obowiązującemi, a co za tem idzie demoralizują młodzież więcej niż otwarcie głoszone gorszycielstwo.

Zarówno młodzież jak i rodzice inteligenccy wiedzą, że władze, popierane w tym kierunku przez prasę tak fachową jak i polityczną, zdaje się nie mieć innej troski nad wyszukiwanie sposobów, jakby wszelką pracę i trud odsunąć od młodzieży. Bardzo jest interesującem psychiczne nastawienie inteligenckich rodziców w tym kierunku. Kiedy nauczyciel tłumaczy ojcu inteligentowi, że jego syn nie zna podstaw gramatyki łacińskiej, ten odpowiada, że to zbyteczne, bo syn zostanie technikiem dentystycznym — drugi ojciec uważa literaturę za zbyteczną, bo syn idzie na inżynierję—trzeci matematykę, bo syn chce być obrońcą sądowym i t.d.

Wszyscy inteligenccy rodzice uważają ogólne wykształcenie za zbyteczne, szkołę średnią traktują jako zawodówkę, przygotowującą do danego działu na uniwersytecie, a obowiązek ułatwień rozszerzyli w swojej wyobraźni tak, że usprawiedliwiają synów nieprzykładających się do przedmiotów, które uznali za niekoniecznie potrzebne do zawodu.

Synowie chłopów, rzemieślników i robotników nie przynoszą tego nastroju z domu, ale nabywają go w szkole, gdzie po kilku latach narówni z dziećmi inteligenckiemi uważają za wroga tego nauczyciela, który żąda, żeby coś umieli.

W atmosferze ułatwień uczeń nabiera podświadomego przeświadczenia, że dokonał ofiary przez zapisanie się do szkoły i przez tę ofiarę spełnił wszystko, czego tylko możnaby zażądać. Teraz jest obowiązkiem nauczycieli, władz i t. d. pokierować tak jego siedzeniem w szkole, żeby stąd wyrosło dla niego świadectwo dojrzałości.

Na tle nieustannych i nieprzerwanych żądań, nakazów, rozporządzeń, instrukcyj, pouczeń, okólników, osobistych poleceń przedstawicieli władzy o coraz nowszych potrzebach coraz większych ulg i ułatwień, wśród atmosfery, która uważa wogóle naukę za niepotrzebną, wiedzę za balast, a szkołę za środek wysiedzenia patentu, rodzą się okazy i zdarzają wypadki już psychopatyczne. Nauczyciel, wymagający pewnych wiadomości od ucznia, jest pedantem, piłą, psem, w końcu wrogiem osobistym. Nie przeczę, że bywają nauczyciele niesprawiedliwi, nietaktowni i złośliwi — ale warszawski wypadek nie da się podciągnąć pod rubrykę złej pedagogji. Dyrektor zażądał od ucznia, ażeby narówni ze wszystkimi innymi wychowankami szkoły obciął zbyt wybujałe loki, a uczeń uczuł się obrażony i dyrektora zastrzelił.

Wołanie o ulgi, ułatwienia, względy i t. p. jakie słyszy się i czyta wszędzie: w powieściach, fejletonach, artykułach, rozmowach, na zebraniach i t. d. stwarza psychikę nienawiści do wszelkiego rygoru, egzaminów, żądań. Chłopak, wyrosły w tej atmosferze, pragnie, żeby w szkole nie wymagano od niego punktualnej frekwencji, pisania wypracowań, uwagi na lekcjach i opanowania przerobionego przedmiotu — bo te wymagania, naogół duże i krępujące, stoją w sprzeczności z hasłem szkoły bez trudu, bez krępowania, bez obowiązków — szkoły, która młodzieńcowi pozwala tylko wyżyć się według swojego temperamentu.

I złośliwiec twierdziłby, że był w porządku, w zgodzie z sobą, w harmonji między programem i życiem uczeń, który zastrzelił dyrektora, a kędziorów nie skrócił — nie były zaś w porządku władze, które zabójcę ze szkoły usunęły. Jeżeli się takie wypadki uważa za karygodne i ściga, należy zmienić system, a nie biadać nad „zdziczeniem młodzieży szkolnej" lub nad niezdatnością pedagogiczną nauczycieli.

Pińsk JAN ZAMORSKI

# NAUKA I LITERATURA

## SZYMON SZYMONOWICZ I JEGO CZASY

TRZECHSETLECIE śmierci Szymonowicza, które minęło oto w maju r. b., uczczono naukowym zjazdem zamojskim oraz specjalnem wydawnictwem. Nakładem Komitetu obchodu ukazała się właśnie drukiem pokaźna (s. VII+330) księga pamiątkowa pod redakcją prof. Łempickiego we Lwowie: „Szymon Szymonowicz i jego czasy";[1]) rozprawy i studja, zebrane tu z najrozmaitszych stron Polski, ujęto w dwie grupy: „Szymonowicziana" i epoka. Książkę otwiera syntetyczny artykuł Józefa Kallenbacha, ostatni, jaki przed zgonem wyszedł z pod pióra zgasłego niedawno uczonego p. t. „Wejście w Szymonowicza". Trudno o introdukcję odpowiedniejszą. Jest to wejście w Szymonowica istotnie, wprowadzenie czytelnika w świat duchowy poety: charakterystyka zwięzła, operująca skrótami, pełna podniet naukowych dla monografisty pisarza, oczekiwanego ciągle jeszcze mimo prac K. Hecka. Studja życiorysowe rozpoczyna Józef Skoczek (Lwów), kreśląc „kraj lat dziecinnych" poety: obraz Lwowa z drugiej połowy XVI stulecia z jego warunkami kulturalnemi (renesans, katolicyzm i kresowość), z galerją jego ludzi, którzy mogli wpływać na młodzieńca. Prof. Sinko (Kraków) drukuje rzecz o łacińskich odach Szymonowica p. t. „*Pindarus Polonus*" o wyniku wszakże negatywnym: zasługi poetyckie Szymonowica „leżą... poza naśladowaniem Pindara". Jako pindaryk jest on tylko interesującą osobliwością. W. Weintraub (Kraków) drukuje źródłowy artykuł, przynoszący cały szereg nieznanych przyczynków o Tomaszu Segethusie, Angliku, przyjacielu naszego sielankopisarza. H. Życzyński (Lublin) analizuje wiersz w sielankach.

Grupa następna rozpraw kreśli w dorywczych rzutach wizerunek epoki poety, nacisk kładąc na Zamość i środowisko zamojskie. Prof. Łempicki, który w historji polskiej kultury pierwszy postawił zagadnienie mecenatu w Polsce, pomieszcza tu interesujące rozważania o Janie Zamoyskim, jako mecenasie p.t. „Medyceusz polski XVI w." Studjum prof. Łempickiego uzupełnia wszechstronnie zebrana antologja, wraz z oceną poszczególnych pozycyj Zamoyskiego w literaturze współczesnej, dokonana przez p. J. Królińską (Lwów). Źródłowe światło na środowisko zamojskie rzucają archiwalne rozprawy L. Białkowskiego, J. Riabinina, Al. Kossowskiego (Lublin), Al. Czołowskiego (Lwów). Studjum prawne z dziejów stosunków sądowych polskich ogłasza K. Sochaniewicz (Lwów) p. t. „Trybunał Zamojski". Tu również zabłąkała się z działu pierwszego życiorysowa praca R. Skulskiego (Lwów) o Szymonowicu i Sieniawskich.

Współczesna poecie literatura znalazła gruntownych referentów. J. Krzyżanowski (Londyn), wnikliwy badacz staropolskiej powieści, doszukuje się w nowelistyce naszej XVI i XVII w. pogłosów „Dekameronu". R. Pollak (Poznań)

[1]) Redakcja „Księgi" zachowuje tradycyjną ortografję nazwiska Szymonowica z tych samych zapewne względów, dla których np. p. Adamczewski pisze: „Zimorowicz" w swej niedawno wydanej książce o Zimorowicu.

ogłasza z unikatu płockiego wiersz A. Zbylitowskiego p. t. „Na krzciny.., Władysława IV“. Z. Ciechanowska (Kraków) omawia S. Przypkowskiego parafrazę hymnu „*Te Deum*“. Br. Nadolski (Lwów) oświetla „Genezę Roksolanji Klonowicza“.

Wszystkim tym pracom należy się najpilniejsza uwaga miłośników staropolszczyzny. Radosną osobliwością książki jest to, że spotykają się na jej przestrzeni z jednej strony weterani i ludzie długoletniej zasługi naukowej, z drugiej zaś, — jak to podkreśla słowo wstępne — pracownicy, którzy pierwsze dopiero składają snopki badawczego swego plonu. Program wydawnictwa — informuje nas o tem redakcja — nie został w całości zrealizowany: nie wszyscy zaproszeni dopisali, nie wszyscy dopisali wczas. Dlatego np. księga obejmuje prac 17, nie 16, jak pisze o tem słowo wstępne, rozprawę końcową najoczywiściej dodrukowano później. Układ studjów z tych samych zapewne przyczyn niezawsze jest celowy. No, ale księgi takie, jak Brücknerowska, nie powstają co roku! Cały szereg zagadnień został tu na uboczu, nie postawiono więc wcale kwestji Szymonowica i jego literackiej szkoły.

Kto wszakże zna warunki pracy naukowej i wydawniczej w Polsce, ten z prawdziwą wdzięcznością dla redakcji księgi przewróci ostatnią kartę zamojskiego wydawnictwa. Hołd złożony poecie, jest nieprzemijący i trwały.

T. M.

## Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wydawany od trzech lat nakładem Gebethnera i Wolffa „Ruch Literacki“ spełnia doskonale swe przeznaczenie dzięki temu, że znaczną część każdego zeszytu poświęca bieżącej bibljografji dzieł i prac z zakresu literatury polskiej. Prowadzi ten trudny dział młody polonista, niepospolicie w kunszcie bibljografji biegły i pracowity, Piotr Grzegorczyk. Dział ten w „Ruchu“ jest wzorem, w jaki sposób, mając nawet tak mało na to miejsca, można pochwycić z ruchu wydawniczego i z czasopism i systematycznie przedstawić całkowity plon w tak bogatej dziedzinie. Grzegorczyk zrobił coś więcej, bo oto, zebrawszy razem wszystkie wykazy za r. 1928, wydał je w osobnej książce pt. „Bibljografja literatury polskiej za r. 1928“ (War. 1929). Kluczem do takiej książki jest wskaźnik alfabetyczny autorów. Dodał go na końcu, nie szczędząc pracy. Obyż każdy rok odtąd był tak schwytany! A gdybyż jeszcze udało się zarobić w ten sposób przerwy w bibljogafji i za lata ubiegłe, poloniści mieliby pracę bardzo ułatwioną.

*

Wątłą łączność kultury naszej z literaturą angielską nawiązuje wydane świeżo studjum Zbigniewa Grabowskiego, „Walter Pater, życie, dzieło i styl“ nakładem Polskiego Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu z zasiłku Minist. Ośw.

Literatura polska z okresu pozytywizmu posiada zbiorowe wydania dzieł Darwina, Spencera, przekłady dzieł Milla, i sporo cennych przekładów dzieł innych przyrodników i socjologów. Za to prawie odłogiem została praca w kierunku zaznajomienia ze spuścizną naukową angielskich filozofów, historyków i estetyków, jak Carlyla, Macoulaya, Ruskina. Przekład djalogów filozoficznych Berkeleya, poprzednika Kanta, dokonany został przed kilku laty, a twórczość przesubtelnego myśliciela Waltera Patera ledwo że doczekała się przekładu paru fragmentów.

Studjum Zbigniewa Grabowskiego godne jest ze wszech miar uznania. Złożył się na nie ogrom pracy, oświetlającej rozwój i charakter tego świetnego umysłu, wychowanego na kulturze klasycznej, z rezonansem współczesnej psychiki. Filozof, estetyk, pedagog, historyk sztuki, poeta, wszechstronny erudyt, wywarł głęboki wpływ na sztukę angielską i twórczość zaprzyjaźnionych z nim pisarzów, a w szczególności Oskara Wilde'a. Studjum Grabowskiego zasługuje na szerokie rozpowszechnienie, jako dzieło talentu, a może z czasem przyczyni się do spopularyzowania Waltera Patera w Polsce.

*

Książka pod tytułem „Łódź, miasto pracy“, opracowana przez Edwarda Rosseta, naczelnika Wydziału statystycznego Magistratu m. Łodzi i wydana nakładem tegoż Magistratu, daje przejrzysty obraz tego ogromnego, fabrycznego miasta. Podaje nie same tylko suche wykazy statystyczne gospodarczego stanu miasta, ale w zwięzłych, szkicowych rzutach jego opis geograficzny, oraz historyczny z czasów Polski królewskiej okresu niewoli i wojny światowej. Dalej chronologiczne wykazy ludności pod względem narodowym, wyznaniowym i zawodowym. Stan ulic pod względem budowlanym, stan przemysłu, komunikacji, oświaty i kultury, zdrowotności i opieki społecznej, kwestji mieszkaniowej, zakładów użyteczności publicznej, finansów i władz samorządowych. Książkę zdobią estetycznie wykonane ilustracje, a całość tej fachowej i cennej pracy dopełniają liczne umiejętne zestawienia bibljogaficzne, dotyczące wydawnictw o Łodzi.

*

Ukazał się zeszyt 24 „Walki z bolszewizmem“, poświęcony obronie Polski przed bolszewicko-komunistycznem najazdem. Miesięcznik ten podaje szereg danych źródłowych i ogłasza dokumenty, demaskujące zakusy bolszewickiej Moskwy na Polskę. W artykule „Agentury wroga“ podano szereg nazwisk komunistów, którzy nielegalnie pojechali do Z. S. S. R., tam grali rolę „delegatów ludu pracującego“, a po powrocie do Polski organiją robotę wywrotową. Ciekawy jest atykuł „Rozczarowani komuniści“, ogłaszający wyznania kilku wybitnych komunistów, uczciwie oceniających potworne skutki komunizmu w Rosji. Dokumenty o działalności agentów bolszewickich w dniu 1 sierpnia w Polsce, ogłoszone w artykule „Sztab generalny komunizmu“, rzucają rewelacyjne światło na dalsze plany wywrotowe wrogów naszej Rzeczypospolitej. Żywo redagowany dział „z frontu wewnętrznego“ daje treściwe zestawienie faktów, ilustrujących bieżącą działalność obcych agentur. O Rosji Sowieckiej znajdujemy cenne i obszerne informacje.

Cena zeszytu 1 zł. Adres administracji: Warszawa, Widok 5 m. 1, konto w P. K. O. № 14.738.

## Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

P. Henryk Bordeaux specjalnem upodobaniem darzy Alpy. Na ich tle rozegrało się już kilka jego powieści. W góry te również przeniesie akcję swojej książki p. t. „*Valombré*“. Bardzo przystojny Eynard de Varce, ale o słabym charakterze, uwodzi młodą nauczycielkę Monique Desclaux. Ma z nią dziecko, ale ma także legalną żonę Sylvie d'Arnay. Dziecka chce się pozbyć, oddając je do „*Assistance Publique*“ ale w drodze główką jego uderza o skałę, a wówczas dla zatarcia śladów, nieżywe już ciałko rzuci do potoku. Zaaresztowana za dzieciobójstwo, Monique tak jednak kocha niegodnego uwodziciela, że bierze na siebie całą winę. Kocha go jednakowoż nieniniej i legalna żona, zna sekret swego męża i chce siebie zadenuncjować, żeby tylko jej rywalka nie miała w tym dramacie bohaterskiej roli. Monika jednak, która jest naturą egzaltowaną i której ta miłość będzie jedyną w życiu, nie wytrzyma tych wszystkich przejść i nie stanie przed sądem, ale zostanie przeniesiona do domu obłąkanych. Po kilku latach powraca do zdrowia i jest uwolnioną.

W tym czasie w zamku d'Arnay dramatyczną wprost egzystencję prowadzi Sylvie w otoczeniu swego męża, małego synka i starego d'Arnay. Ten nietylko pogardza swym zięciem, ale jego nienawiść wzrośnie do tego stopnia, że na polowaniu jest gotów wymierzyć mu sprawiedliwość. Przypadek go ocali, ale Eynard de Varce nie dożyje starości, a młody jego syn zginie na wojnie. Wówczas Sylvie pragnie poświęcić dobroczynności i to zapomocą Monique. Z niepomałem jednak zdziwieniem konstatuje, że ta ostatnia, pomimo wszystkich przejść, zachowała dla zabójcy jej dziecka niezmienione uczucia.

Dramat synobójstwa stanowi oczywiście główną osnowę tej powieści, jej ramy, ale w których bodaj na plan pierwszy także wysuwa się inne uczucie, a mianowicie głębokiej miłości dwóch kobiet, prawych i subtelnych, dla mężczyzny o bardzo niskim charakterze, tchórzu, jednem słowem na nie teoretycznie nie zasługującym. Wiadomo jednakowoż, iż miłość nie zajmuje się zazwyczaj oceną zasług i wad, ale przechodzi, jak to wykazuje p. Bordeaux w swojej bardzo zajmującej powieści, ponad niemi zupełnie do porządku dziennego.

*

„*Non-Lieu*“ jest powieścią odtwarzającą nam życie rodziny francuskiej. Wojna jednak wprowadziła w to ognisko burżuazyjne zupełny przewrót pod względem społecznym. Nietylko ojciec i syn, Georges, muszą pracować na życie, ale i trzy córki musiały zrezygnować z zawodu panien na wydanie. Czynią to zresztą chętnie. Rolande jest już adwokatką a najmłodsza siostra, Odette również chce pójść w jej ślady. Jeanne znowuż jest nauczycielką. I w rodzinie Thierry panowała ogromna, rzadka harmonja i równowaga, aż do chwili, kiedy Rolande ma bronić sprawy jakiegoś awanturnika, Claets. Adwokatka zakochuje się w nim i doprowadzi właśnie do tego „*non-lieu*“, ale za cenę, że jej klijent wyda swoich wspólników. Autor, a właściwie autorzy tej książki, pp. Marguerite i Herry Membré z dużą finezją odmalowują, jak ów Claets pozyskuje powoli tę rodzinę dla swoich widoków. Jeanne jednakowoż, która na wojnie stra-

ciła narzeczonego, z nieufnością odnosi się zawsze do przyszłego szwagra, który był oskarżany o szpiegostwo. Za pomocą też brata przeprowadzona ankieta wykryje smutną prawdę i Claets zostanie usunięty. Zbolałą zaś Rolande pociesza rodzina, zapewniając, że ją otoczy pieczołowitością i miłością, ale Rolande oczywiście o innej marzyła. Psychologja poszczególnych członków rodziny trafnie ujęta, a powieść ta zmierza wyraźnie, co w ostanich czasach stało się raczej rzadkością, do wykazania siły i znaczenia jedności domowego ogniska.

*

Nakładem firmy Laterza w Bari wyszły obecnie *„Problemi di metodo critico"* pióra L. Russo, dyrektora przeglądu *„Leonardo"*, jednego z publicystów dobrze się zapowiadających wśród młodszego pokolenia pisarzy. Autor dał się już poznać dodatnio ze studjów krytycznych, zwłaszcza nad dziełami Vergi i Di Giacomo. Niezależność i spokojne rzeczowe ujmowanie przedmiotu cechują pracę świeżo ogłoszoną drukiem, jak zresztą wogóle wszystko, cokolwiek Russo dotychczas napisał. Książce dodają żywości problemy i sprawy aktualne, które autor porusza co krok niemal, powołując się na krytyków, filozofów i artystów niedawno minionej i obecnej doby, których zdania i sądy przytacza.

# SZTUKI PLASTYCZNE

## WYSTAWA GRUPY „RYTM"

W SALONIE Garlińskiego gości wystawa Towarzystwa Artystów „Rytm", w którem grupują się artyści niezadowoleni z „Zachęty" i będący w stałej wobec niej opozycji. Z tego względu zrozumiałe jest zaciekawienie wystawą tych „niezależnych". Podąża się na nią w nadziei, że „Rytm" nietylko reklamą i różnemi uroszczeniami, ale i czynem artystycznym wykaże swoją wyższość nad zwalczanemi przez się szkołami, kierunkami, artystami, lub instytucjami. Stąd też pierwsze dni wystawy rojne były od tłumu zwiedzających. Ale wszystkich spotkał zawód na całej linji. Wielkie i piękne w reklamach słowa o wysokim poziomie, młodzieńczości, zaborczości, nowości oblekły się na wystawie w smutną rzeczywistość nieuctwa, snobizmu, upadku lub — wyjątkowo tu i owdzie — zwykłego, na każdej wystawie spotykanego i obowiązującego poziomu artystycznego.

W rubryce zupełnego i rozbrajającego w swej nieświadomości nieuctwa zamieścić należy przedewszystkiem obrazy trzech żydów — p. p. Gottlieba, Husarskiego i Kramsztyka. W szczególności dwaj pierwsi czynią wrażenie chłopczyków bawiących się pędzlami i farbami: p. Gottlieb jako niegrzeczny Dyzio (z powieści Żeromskiego), a p. Husarski jako ten z bajki Tadeuszek, co nałapał w szklaneczkę muszek. Co do p. Kramsztyka, to malarstwo jego ani na krok z pierwotnych swych brudów nie wyszło, owszem, — zapada się w nie tak beznadziejnie, że artysta poczuł konieczność malowania murzynów. Ale i ta ucieczka do lasów afrykańskich mało p. Kramsztykowi pomogła. Chyba zastosuje nadto motyw nocy czarnej i kawy czarnej, ażeby źródła natchnień swych otoczyć tajemnicą mojżeszowych objawień.

Czwarty na tej międzynarodowej wystawie żyd (żeby już skończyć z tą falangą pacykarzów, pacyfistów i pacyfaktorów) — p. Kuna jest dobrym w fachu swym rzeźbiarzem, ale tyje po bankiersku i wszystkie razem z nim jego postacie również w tym samym rytmie pęcznieją. Głowy kobiece w rzeźbach reb Kuny wszystkie są rasowo żydowskie, co mu się chwali, ale z tego typu żydówek, co to nie schną, lecz obrastają sadłem aż do utraty inteligencji. Oprócz główek wystawił reb Kuna wielką postać Chrystusa na krzyżu p. t. „Krucyfiks". Ta postać także tłusta i dobrobytem ciała wielmożna. Ciekawa rzecz, co mianowicie skłania panów Watów, Sternów, Kunów i innych rabinów wieku naszego do nawrotu w czasy świętych Franciszków i ich pierwowzoru? P. Kuna jest dobrego serca, choć nie cudotwórczym cadykiem, więc obdarzył swego modela taką bujnością tłuszczu podskórnego i taką miękkością ruchu, jakby ten po obfitej wieczerzy do ciepłego snu się układał.

Poza żydami są też w „Rytmie" polscy artyści z p. Skoczylasem i Pruszkowskim na czele. Ci dwaj dobrze się wśród żydów czują, ale nie można powiedzieć, że lepiej malują. Barwne obrazy p. Skoczylasa są przykre w swej pospolitości, a drzeworyty oddawna powtarzają się aż do znudzenia. Pruszkowski w swoich autoportretach pokpiwa sobie ze świata pracy, dążeń i wysiłków, patrzy na nie z góry i zukosa, jak szofer z samochodu, lub pilot z samolotu. Niewiadomo, czy daleko tą drogą zaleci. Tymczasem wrócił jakoby do startu i dymkiem fajki na świat pyka, co możnaby uznać za impertynencję, gdyby nie to, że na pogodnych tłuścioszków nie sposób się gniewać. Należy tylko stwierdzić, że w regjonach sztuki to, co czynią teraz ci dwaj artyści, nazywa się upadkiem. Oczywiście — żadnemu z nich nie grozi to potłuczeniem kości. Są zabezpieczeni i ubezpieczeni, boć nie bez pieczeni...

Panowie Borowski, Roguski, Rzecki i Wąsowicz cofają się w swojej sztuce z wytrwałością godną lepszej sprawy. P. Wąsowicz, naprzykład, w swoim czasie dobrze się zapowiadał, a teraz tak maluje, jakby nic nie umiał. Farba na jego obrazach leży materjalnie, ani trochę na barwę nie przetopiona, rysunek nędzny, modelacja wręcz niechlujna, żadnego wyrazu, żadnej kompozycji, słowem — obraz zaniku wszelkich dążeń artystycznych, bodaj szkolnych. P. Borowski pogubił swoje kolorki mizdrzące się, porzucił wiek pseudo-osiemnasty i pozostał w kawiarence z Montmartre z resztkami smaczków paryskich. Panowie Roguski i Rzecki programowo stracili wartości, z któremi karjerę swoją zaczynali. Naprzekór światu, na złość mamie poodmrażali sobie talenty na mrozie jakiejś zatraconej teoryjki, o której, na domiar, nic określonego ustalić nie można.

P. Romuald Witkowski odgrzewa stare kawały paryskiego z przed dwudziestu laty Salonu Niezależnych. Lecz to już nie należy do sztuki. Jak można tak samego siebie poniżać i ośmieszać? Pozostali trzej członkowie „Rytmu" — p. Niesiołowski, Pokrzywnicka i Ślendziński tak są mierni, okrągli, przystosowani i nijacy, że mogą obrazami swemi obsługiwać wszystkie towarzystwa, grupy, związki, instytucje i wystawy na całym obszarze Polski — od Gęsiej Górki do Kaczego dołu.

W ogólnym wystawy wyniku — poco było tyle krzyku? Taki gwałt, że „Zachęta" do kostek nie dorasta „Rytmowi", że oni — rytmiacy niosą objawienia sztuki, że są krzywdzeni, niezrozumiani, nieuznani, że nie mają krzeseł drążkowych w senacie życia artystycznego. O co chodzi? Kto nie umie malować i rysować, niech się zapisze do szkoły sztuk pięknych. Kto ze sztuki robi łobuzerkę, niech idzie pod mosty. Kto bez ceremonji tyje, niech i dla sztuki swej obszerną przygotuje oborę. Kto nijaki, temu i sztuka uwiędnie. A że to wszystko razem w jednych ramach mieści w sobie towarzystwo „Rytm", niech zaprzestanie histerycznych uroszczeń. Można przez pewien czas blagować tłumom ciemnym, jak dzisiejsze warstwy świeżoupieczonej „inteligencji", lecz sfery artystyczne dość już „rewolucyj" przeżyły i nie dadzą się straszyć krzykami, po których następują takie manifestacje, jak obecna „Rytmu", godna politowania wystawa.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

# OFENSYWA

## ORDYNANS ULANOWSKI

O TRZECIEJ z rzędu „powieści“ p. Tadeusza Ulanowskiego, wyższego urzędnika w M. P. i O. S. (podwładny tego Prystora) a byłego *conferencier*'a w kabarecie nocnym (ze stolikiem) „Momus“ (to znaczy przedwojennego Jarossy'ego, tylko z odmianą, że ordynarnego, koprofagitę i nudnego) zamieścił łódzki tygodnik ultrasanacyjny „Prawda“ następującą „recenzję“:

„Jest to według zapowiedzi autora trzeci i ostatni utwór w cyklu, którego pierwszą część stanowił „Dr. Filut“, a drugą „Uczta dozorców“. Trzecim i najsłabszym. Zdumiewa granicząca z najwyższą klasą żonglerki i ekwilibrystyki umiejętność tworzenia zdań. Przeraża pustka myśli. Pięćset stron gadanin i ani jednej myśli. Może to rekord, może tego jeszcze nie było?“

Jak widzimy z tego: krótko a węzłowato: „pięćset stron gadania ani jednej myśli“. Zaczem zdawałoby się: nie ma co tracić czasu na czytanie. Tak? Tymczasem atoli: nie. Ostatecznie: figura, dygnitarz. Czytało się niedawno: na Zamku inżynier Trepka wygłosił u pana Prezydenta prelekcję o „Elementach współczesnej pracy przemysłowej“, poczem w dyskusji zabierali głos pp. An. Wierzbicki, pułk. Moniuszko, p. Drzewiecki i dyrektor czy też „naczelnik“ Ulanowski. Zaczem: poważna chyba głowa. Jak tedy mogła ultrasanacyjna „Prawda“ potraktować tak tego p. Ulanowskiego? Piekielna intryga endecka czy djaboliczna machinacja tego Kadena-Bandurskiego? W każdym razie trzeba tedy przeczytać, zwłaszcza, że się sympatycznego wesołka pamięta, jak bawił burżujów przez dwa lata nocami przy strzelających korkach i dosiadał się do stolików jako te *girlsy* dzisiejsze. Lektura nietylko nie sprawia zawodu, ale jest wyjątkowo interesująca dla... psychjatry, neurologa, freudysty i obserwatora, czy analityka tej psychozy, przez który dziś przechodzi pewna część społeczeństwa. Pacjent Ulanowski kwalifikuje się najlepiej do położenia na stół sekcyjny i dla długiej prelekcji do słuchaczy zapełniających amfiteatr. W tym biedaku gangrena doszczętnego zmatołowania nie zostawiła już ani jednej komórki zdrowej; tu już mózg przeżarty jest bez reszty kiłowaciźną kultu. Tylko z tej książki atoli (niejako prekursorskiej) można się wywiedzieć, do jakiej fazy obłędu i skretynienia dojdzie ten cały obóz, gdy go odosobnianego zwolna od całego społeczeństwa zaczną losy przypierać do muru, do „ściany płaczu“.

Pan Ulanowski ma tę zasługę, że dał „dokument ludzki“ dla antagonistów swego „obozu“ wprost nieocenionej wagi. Bezwiednie i bezwinnie sprezentował kuchnię, kulisy, sypialnię, śpiżarnię, piwnicę, strych i „wygódki“ tego domu warjatów na trzeźwo, na spokojnie, na zimno, warjatów z wyrachowania i spekulacji, warjatów z premedytacją i kombinacją, symulantów szamanizmu.

Nie jest to oczywiście żadna powieść, nie jest to wcale dzieło sztuki, nie jest to atoli również beztalencie, nie! Ten człeczyna ma pewien talent, zrujnowany doszczętnie manjakaliczną biegunką myślową i jakiemiś patologicznemi ambicjami, rozpalonemi do czerwoności. W ostatnich latach denerwuje go do ostateczności to jego *fatum*, polegające na tem, że od szeregu lat pisze i pisze i komponuje i rezonuje, jest zatem „twórczy“, a pomimo tych syzyfowych trudów do literatury żadnej nie należy i przebywa stale na podwórzu, nie wpuszczany nawet do antresoli. Postanowił sobie tedy przebojem raz się przedostać na schody. Nie dośpiąc i nie dojadając odwala jednym ciągiem trzytomową trylogję o w s p ó ł c z e s n e j, jak mu się zdaje, P o l s c e no i napisawszy, napociwszy się, zadowolony z siebie, szczęśliwy z możności nie tyle wygadania się ile „wypyskowania“ — czeka. Na co czeka? Na laury. Skandaliczny rozgłos tego Kadena-Bandurskiego poprostu spać nie daje. Stara się tedy zdystansować w serwilizmie i „skandalizmie „samego“. Kopjuje go więc, przedrzeźnia i przewrzeszcza. Jeżeli ordynarność i brutalstwo tak popłacają, to pan Ulanowski stara się być jeszcze bardziej gburowaty, wulgarny i bezczelny. Ażeby sobie odrazu zdobyć „lektora“, zaczyna od jakiejś inwokacji napastliwej na R. Dmowskiego. Widocznie tem sobie ma ująć tych, co go szczują. Szczeka tedy wrzaskliwie i chrypliwie, naśladując do złudzenia kundle, przywiązane do pewnych parkanów na Nalewkach. Były bawidamek ćmów nocnych z „Momusa“, trotuarowy polityk, kawiarniany wagabunda a obecnie kancelista-synekurzysta ministerjalny ma tupet pisać sobie „panie Dmowski“!

Olbrzymia wypocina tego pana jest to *„roman a clef“* to jest jego interpretacji zbieraniną paszkwilów na znane osoby żyjące, głównie polityczne, oczywiście potwornie przekrzywione, bo podpatrzane z perspektywy kelnera czy pomywaczki, przez dziurkę od klucza od strony kuchennej klatki schodowej, gdzie znajdują się dozorcy z kuchtami. Pana Ulanowskiego znawstwo ludzi i stosunków wywodzi się z Czerwoniaków, z „Gastronomji“ i z *„Caffè Italia“*. Polski nie zna, bo w Polsce nie był a poza Warszawę nosa widocznie nie wychyla, arcytyp „warszawisty“, warszawskiego *„radical“*, który od 13 maja r. 1926 uważa stolicę za środek pępek świata. Do Europy ten „powieściopisarz“ także nigdy nie zaglądnął ni zajrzał. O świecie Bożym wie zatem tylko to, co w „Kurjerkach“ rano i wieczorem się nakształci i naczyta. Że atoli małe i drobne ambicje gryzą go jako pchły, więc samouk i niedouk cytuje raz po raz... W o r c e l l a, K a n t a, P a l m e r s t o n a i „S a r o n a r o l l ę“ (*sic*) i tą erudycję żongluje jako ten d ż o n g l e r (*sic*! tak stale pisze).

Jak więc w rozrzedzonym mózgu takiego pół inteligenta i prewincjonalisty ze stolicy (bo są i tacy) kształcują się pojęcia o rzeczywistości polskiej, „polityce paniedzieju“, o Europie“ militaryzmie, pracy, prawie, dyktaturze, parlamentaryzmie, masonerji, obskurantyzmie, sejmowładztwie, partyjnictwie i t. p.. łatwo można sobie wyobrazić. W „powieści“, w tomie wygląda to jak olbrzymia kopa — kopa plew, otrębów, sieczki, okruchów, wiór, śmieci, obrzynków, wszystko razem oblane jakąś niewonną wydzieliną chorej imaginacji. Dopiero po „dziełach“ Ulanowskiego widzi się, jakie spustoszenie we łbach tego typu żarliwie się kształcących, ale dozgonnych analfabetów wyczynia brukowa i rynsztokowa prasa ze swojemi suggestjami i ze swym morfinizowaniem wielkomiejskiego motłochu. Taki p. Ulanowski jest poprostu gramofonem i parlografem „Expressiaków“ i „Porranniaków“ z ostatnich lat ich „działalności“, przysięgających ślepo na to, co tam wyczytał z wiarą posłańców, *piccolów* i przeżuwającym to wszystko z uporem krowy, szczypiącej nędzną trawę z ugorów.

Nie dziwimy się tedy wcale oburzeniu sanacyjnej „Prawdy“ na deklamację ministerjalnego ministrela. Pan Ulanowski („Savonarolla“) z jednej strony z emfazą histeryka cierpiącego już na konwulsje, wpada w ekstazy nad J. Piłsudskim, obślinia go komplimentami, epitetami, ornamentami (Piotr Wielki pierwszy więzień Odrodzenia, Reytan, Dawid, Budowniczy Warszawy, Krywe Krywejte, kapłan i męczenik polskiej „władzy“ „morowiec“, „mały kapral“ postać z litanji, Brutus, Napoleon pierwszy, strzelec, pierwszy prosarz, wielki skazaniec, sternik, ogrodnik i t. p. i t. d.), z drugiej jednak strony miesza go i wplątuje w powieści w takie kawały, wstawia w takie sytuacje, każe rozmawiać z ludźmi gwarą tak okropną i pleść takie banaliki (w dyaloga z rozpustną kurtyzaną baronową Safoną Cacy!), że istotnie nie sposób nie obrażać się na taką „koncepcję“. „Dżongler“ Ulanowski swą karykaturą adoracyjną przeszedł wszystko. Podobne trywialne przestylizowanie można by usprawiedliwić tylko definitywnem zwapnieniem mózgu lub kompletnem skretynieniem; nawet bowiem bezmiar normalnej u radykałów ignorancji nie ekskuzowałby jeszcze takiego niedźwiedziowatego dytyrambistę. To jest prawdziwe „pomniejszanie olbrzyma“. To jest dopiero paszkwil! Jeżeli zaś Piłsudczyznę będziemy już uważali za rodzaj wyznania, religji, zakonu, za sektę, to ten Ulanowski Przedświtowiec jest pierwszym ukrytym, zaczajonym heretykiem... może emissarjuszem... Endecji... może nawet przyszłym Savonarollą.

ADOLF NOWACZYŃSKI

# NA MARGINESIE

Nie dobiegła jeszcze końca serja odczytów, wygłaszanych przez członków rządu na temat „reformy konstytucji“. Ale już pierwsze w tej kolejce przemówienie p. premjera Świtalskiego uczyniło dalsze referaty jego kolegów bezprzedmiotowemi. Dwie przyczyny uzasadniają, zdaniem p. premjera, przewrót majowy i wysiłki reformistyczne „sanatorów“: 1) brak stałej większości parlamentarnej dla rządów okresu przedmajowego, 2) powstanie stałej większości parlamentarnej dla ostatniego rządu okresu przedmajowego.

Czyli (że zacytujemy p. Świtalskiego), dwie są ewentualności „dla państwa“ nie do zniesienia: 1) rząd „słaby“, 2) rząd „prowokacji“...

Na tę drugę tylko ewentualność (wyraźnie zarysowaną jako rząd większości polskiej) reagowali sprawcy czynu majowego. Ta druga tylko (nieznana podręcznikom prawa konstytucyjnego) każe ludziom czynu majowego zatroszczyć się o reformę... konstytucji.

Pp. Składkowscy i Carowie zastanawiają się wyłącznie nad klęską „rządów słabych“.

*

„Gazeta Polska“, zagadując sytuację składa raz po raz akty wiary, nadziei i miłości, pełne samouwielbienia i zalotności. Grający rolę mężów stanu młodzieńcy z „Gazety Polskiej“ szczebiocą:

„Gorąco miłujemy naszą Ojczyznę — trzydziesto miljonowe państwo polskie — i ani obcym, ani zdezorjentowanym swoim krzywdy Jej uczynić nie damy" (nr. 24).

Nie damy. Nie oddamy Polski, bo ją kochamy. Rozkoszne chłopaki! Nie oddamy nikomu, bo wszyscy są zdezorjentowani. My jedni się dobrze orjentujemy.

O, bo to przytomne chłopaki! Taki redaktor napisze kokieteryjnie: „Ojczyzna", ale wnet się spostrzeże, czy tego kto nie weźmie za „naród", więc chyżo dodaje: „30-miljonowe państwo polskie". Bo przecież żydzi mogliby pomyśleć, że „gorąco miłujemy" tylko Polaków. Oni jutro Polskę będą brali w cudzysłów.

O, to rozgarnięte chłopaki! Krótkie jeszcze majtki, ale głowy przestronne. Zdawałoby się, same „hocki-klotzki", a tu i serca, panie dziejku: — Kochamy — powiedzą — Polskę, ona nasza i nikomu jej nie oddamy.

I gadać tu z takimi o kontroli!

*

W najbardziej dziś „miarodajnym" organie obozu „sanacji", w „Gazecie Polskiej" (nr. 24), przeczytać można w artykule wstępnym następujące zdanie:

„Nawykli do tego jesteśmy, że szeregi nasze mnożą się najszybciej tam, gdzie największe niebezpieczeństwo zagraża, a maszerować w pierwszym szeregu — to najwyższe wyróżnienie — to jedyny order, dawany w moralnej pierwszej brygadzie".

Śmieszne i przykre staje się już to zakłamywanie się bez pamięci frazesami, wszelkiej pozbawionemi treści... Cóż oznacza przytoczony wyżej zwrot w stosunku do ludzi, jak choinki obwieszonych wszelkiemi orderami, krzyżami, medalami, po kilka razy do roku obsypywanych gradem najrozmaitszych odznaczeń i zaszczytów? Czyżby autor artykułu miał tu na myśli, że cała rzeczywista „pierwsza brygada" nie jest... „moralna"?

*

Krążą pogłoski, że zachęcona powodzeniem odczytów p. Juljusza Kaden-Bandrowskiego o „nowej kobiecie", p. Marja Jehanne-Wielopolska ma zamiar puścić się w podróż po prowincji z serją wykładów p. t. „Walka o nowego mężczyznę"...

## NOWE KSIĄŻKI

Wasilewski Zygmunt. Pieśń w górach. Warszawa 1930. Tow. wydawn. „Patria". (St. 174). Cena 5 zł.

Rudkiewiczówna Janina. Cech introligatorski w Wilnie. Zarys historyczny. Bibl. Wileńska nr. 1. Wilno 1929. wydanie Magistratu m. Wilna. Str. 56.

Łowmiańska Marja. Wilno przed najazdem Moskiewskim 1655 r. Bibl. Wileńska, nr. 3. Wilno 1929. Wyd. Magistratu. Str. 200 (nr. 2 Bibl. zapisaliśmy już dawniej. Jest to St. Pigonia „Z dawnego Wilna").

Thugutt Stan. Odrozené Polsko. Przełożył na czeski, prof. B. Vydra. Praga 1929. Orbis.

Lechnicki Czesław. Jezuici i Skarga na dworze Zygmunta III. Lwów 1929. Nakładem autora. Str. 45.

Lipecki Stan. Zbiory im. Juljana i Kazimierza Bartoszewiczów. Kraków 1929. Str. 22.

Panenkowa Irena. Od Cezara do Wilhelma. Studjum o cezaryzmie. Warszawa 1929. „Placówka". Str. 88.

Przegląd Współczesny. Kraków, październik.

Walter Scott. Waverley. Przedkład Teresy Świderskiej. Wstępem opatrzył i opracował Andrzej Tretiak. Kraków Bibl. Narodowa nr. 56.

Kukiel Marjan. Zarys historji wojskowości w Polsce Bibl. historyczna Krakow. Spółki Wydawniczej. Kraków 1929. Str. 356.

Grodecki Zdzisław. Bolesław Śmiały w Przemyślu. Powieść. Przemyśl 1929. „Ziemia Przemyska".

Tyski Zygmunt. Pan Fred. Poemat. Kraków 1929.

Bzowski Teofil T. J. ks. Na gwiazdkę. Chyrów 1929;

Krzyżanowski Adam. Polska konjunktura gospodarcza. Kraków 1929. Krak. Spółka Wydawn.

Plautus T. M. Żołnierz Samochwał. Przełożył i opracował Gustaw Przychocki. Bibljoteka Narodowa. Serja II-ga, nr. 53. Kraków 1929. Krak. Sp. Wyd.

NAKŁADEM TOW. WYD.

„PATRIA"

SPÓŁDZ. Z OGR. ODP.

WYSZŁY KSIĄŻKI:

*Joachim Bartoszewicz*

*ZAGADNIENIA POLITYKI POLSKIEJ*

Wstęp. — Państwo narodowe. — Ustrój federacyjny. — Republika-monarchja. — Ustrój władz. — Sprawa mniejszości. — Terytorjum i granice. — Polski patrjotyzm.

CENA 3 ZŁ.

*Zygmunt Wasilewski*

*PIEŚŃ W GÓRACH*

Przedmowa. — Do słońca. — U źródeł. — Tragedja muzyka. — Poeci w Tatrach. — Na wyżynach kultury.

CENA 5 ZŁ.

Skład główny w księgarni Ossolineum w Warszawie Nowy-Świat Nr. 69.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE

„POLSKIE INFORMACYJNE KSIĄŻKI ADRESOWE"

przystąpiło do wydania książki Informacyjno-Adresowej

„CAŁA WARSZAWA"

Komitet Redakcyjny pod honorowem przewodnictwem p. Prezydenta m. st. Warszawy

INŻYNIERA

Z. SŁOMŃSKIEGO

JEDYNE OFICJALNE ŹRÓDŁO

OKOŁO 500.000 ADRESÓW firm, wolnych zawodów, właścicieli mieszkań i t. p.

Spis domów według NNr. hypotecznych i t. d. Objętość 1600 str.

Cena w przedpłacie zł. 25.

Informacje: ul. Szpitalna 1 m. 6, tel. 275-88.

TREŚĆ:



Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 2545. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 1290.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM